Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 13 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 28 III 1948 r. ROK III

ZMARTWYCHWSTANIE W SZTUCE

Motyw Zmartwychwstania pojawia się w sztuce wcześnie. Spotykamy go już na sarkofagach wczesnochrześcijańskich z IV w. W okresie tym jest on ujęty jednak tylko symbolicznie, bez występowania postaci Chrystusa i przedstawia krzyż, pod którym śpią dwaj strażnicy grobu, oraz labarum, to jest monogram Chrystusa, otoczony wieńcem.

Przez okres starochrześcijański i średniowiecza, aż do XIII wieku włącznie, scena Zmartwychwstania nadal przedstawiana jest w sztuce bez udziału Chrystusa, stosownie do opisów ewangelii, które nie opowiadają wprost o Zmartwychwstaniu, lecz mówią jedynie o drodze świętych niewiast do grobu i o ukazaniu się anioła. Na malowidłach czy rzeźbach ówczesnych widzimy grobowiec, często w formie monumentalnej budowli, przy nim uśpionych żołnierzy, obok stoi lub siedzi anioł, zwracający się z gestem rozmowy do trzech nadchodzących niewiast. Niekiedy spotykamy w ikonografii tego czasu scenę tę przedstawianą równocześnie ze sceną Wniebowstąpienia Chrystusa, jak na przykład na jednym z najstarszych zabytków tego typu, starochrześcijańskiej rzeźbionej płytce z kości słoniowej z muzeum w Monachium.

Właściwa scena Zmartwychwstania, w której występuje już sama postać Chrystusa, zaczyna się pojawiać w sztuce powszechnej dopiero z samym początkiem w. XIV, jeśli nie liczyć kilku tylko, b. rzadkich przykładów z końca XII i z XIII w. Chrystus stoi spokojnie obok grobu, z chorągwią w jednej ręce, drugą błogosławiąc, obok leżą śpiący lub budzący się w przerażeniu żołnierze. Frontalnie zwrócony do widza, tworzy główną oś kompozycji. Typ ten występuje powszechnie w sztuce włoskiej XIV w., na północy aż do końca XV wieku, spotykamy go na freskach Campo Santo (cmentarza) w Pizzie, w dolnym kościele św. Franciszka w Asyżu i w. in.

Jeden z największych mistrzów włoskich, Giotto (1266—1337), którego sztuka ma przełomowe znaczenie dla rozwoju malarstwa włoskiego, wprowadza nowy typ przedstawień Zmartwychwstałego Chrystusa, typ, który staje się powoli dominujący w całej sztuce: Chrystus unoszący się w triumfującym majestacie ponad grobem. Najwięksi malarze włoskiego odrodzenia malują z przejęciem w ten sposób scenę Zmartwychwstania... Pietro Perugino (ok. 1450—1523), mistrz Rafaela, ukazuje Chrystusa jako zwycięzcę nad śmiercią, ożywiając całą scenę i nadając jej pewien liryczny ton przez piękny włoski krajobraz, na którego tle się dzieje, Fra Bartolomeo (1472—1517), florencki malarz i mnich z zakonu Dominikanów, w monumentalnej i pełnej powagi kompozycji, pokazuje Chrystusa w otoczeniu czterech ewangelistów, jako tych, którzy cud Zmartwychwstania obwieścili chrześcijańskiemu światu. Pełna prostoty i głębokiego wyrazu jest płaskorzeźba florenckiego rzeźbiarza Luca della Robbia (1399—1482) z katedry we Florencji — Chrystus w spokojnej postawie unoszący się nad grobem, błogosławi światu.

Tycjan — Zmartwychwstanie Chrystusa

W Polsce, w okresie gotyku, scena Zmartwychwstania Chrystusa zaczyna pojawiać się bardzo często na malowanych i rzeźbionych ołtarzach gotyckich. Najpiękniejszy przykład znajdujemy na ołtarzu Mariackim Wita Stwosza (ok. 1445—1533) w Krakowie. Jak już wspomniałem, na północy utrzymuje się do końca XV wieku pierwszy typ przedstawiania sceny Zmartwychwstania, z postacią Chrystusa stojącego obok lub na grobie, często z nogą wspartą o sarkofag. Tak też przedstawił Wit Stwosz Chrystusa Zmartwychwstałego na swym ołtarzu.

W XVII i XVIII w. motyw Zmartwychwstania staje się w sztuce jeszcze bardziej częsty, nie odbiegając już jednak od typu ikonograficznego, ustalonego w malarstwie renesansowym włoskim. Zwłaszcza często spotykamy się z rzeźbioną postacią Chrystusa Zmartwychwstałego, w związku z powszechnym zwyczajem umieszczania jej na ołtarzach kościołów, w okresie od Wielkanocy do Wniebowstąpienia.

P. M.

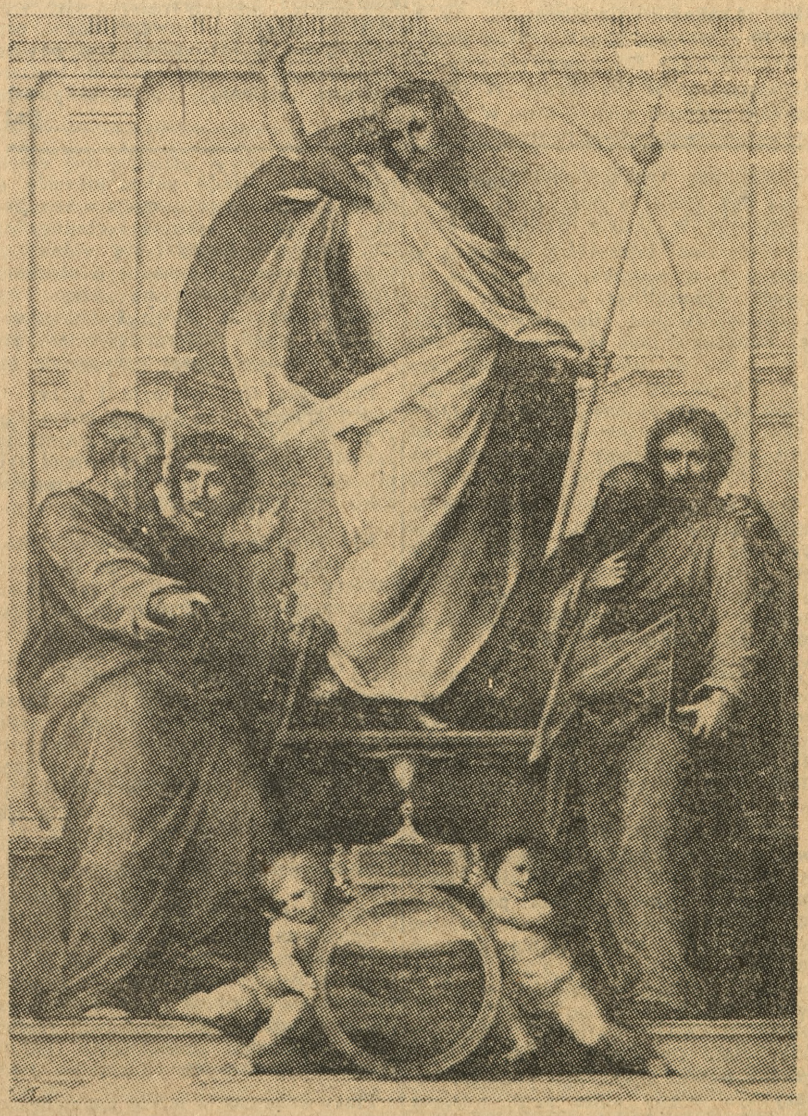

Fra Bartolomeo ·· Zbawca świata

JÓZEF BARANOWSKI

Poemat wielkanocny

I

Przechadzała się ulicami wiosna pierwsza.
Rozdawała uśmiechem, zielone gałązki wiotkie jak wiersze.
Bazie wielkanocne
I kurczątka żółte z cukru, wełny puszystej,
A ponad miastem gwarnym,
W białych obłokach
Baranki kędzierzawe przeglądały się słońcem w oknach.
Była chwila uroczysta.
Odświętna.

— — — — — — — —

Wieczór wróżył pogodę
W niebieskim zapachu hiacentów.

II

Wróży późna chwila nastrój kościelny.
W kościele, organista ćwiczy na organach
Koncert niedzielny.
Gra na tletni pianissimo — — gay zabrzmiał basem,
Zagubił się w melodii — — a melodia
W przestrzeni i czasie —
Apostołowie święci wyrzeźbieni w marmurze,
Zapomnieli modlitwy, zasłuchani
W rozśpiewanym chórze.

III

Święta.
Dzień jest ten sam, a może inny.

— — — — — — — —

Przez furtkę niedomkniętą,
Biegnie na pole ścieżka
Jak porzucona dziecinna
Wstążeczka.

— — — — — — — —

Pierwsza z ulic, najbardziej wesoła,
Rozbrzmiała śmiechem.
Wiodąc do kościoła
Wiosnę przybraną w zieleń.
A w obłokach
Wymachuje chorągiewką z wiatru
Kędzierzawy baranek
I ludziom i sobie wyśpiewuje:
Alleluja!

Bo tego dnia...

Rozdzwoniła się sygnaturka srebrnym serduszkiem, jak żółtodzióby kos, proszący o wiosnę. Jasne dzwonki budzą świat świtem wesela. Łąkami, poprzez lasy, wsie i miasta, idą radosne wieści: Pan z martwych powstał.

Mała skromna sygnaturka jest jakby uosobieniem ludzkiego serca. Nie przegłuszą jej potężne dzwony. Sznur pociągany ręką człowieka nieraz rozkołysał je by światu trwogę wieściły. Bezradne a powolne huczały nad nami przerażeniem i lękiem.

Świtem Wielkiej Niedzieli zbudzona sygnaturka rozśpiewuje światu radość nad radościami: Alleluja, Alleluja. Niechaj i ludzkie serca rozśpiewają się radością nadziei i wiosną dobroci. Niechaj zmartwychwstanie człowiek dobry i spokojny. Oby już nigdy jego ręka nie pociągała sznura dzwonów na pożogę i trwogę.

Wołajcie wielkie dzwony nutą radosnej sygnaturki na chwałę DOBRA I POKOJU.

Zadzwonią wam do wtóru ludzkie serca, łaknące pojednania i wesela. Bo tego dnia gdy Pan zmartwychwstał, zmartwychwstała wraz z winna również wiara w Człowieka i dobre jego Jutro.

Alleluja, Alleluja: radość nadziei i wiosna dobroci.

Tad. H. Nowak

ZMARTWYCHWSTANIE
Płaskorzeźba Mariackiego ołtarza

MALARSTWO JANA CYBISA

Jan Cybis jest dziś jednym z najwybitniejszych naszych plastyków, jednym z czołowych przedstawicieli grupy malarzy, walczących o dobre imię i wysoki poziom malarstwa polskiego. Jako uczeń Józefa Pankiewicza bierze udział w utworzeniu tzw. Komitetu Paryskiego, którego członkowie wyruszają w ślad za swym profesorem na studia do Paryża. Grupa ta, nazwana od pierwszych liter Komitetu Grupą K. P. jest zalążkiem świetnej szkoły kolorystów, która dziś przewodzi całemu malarstwu polskiemu i stawia je na wysokim poziomie artystycznym. Jan Cybis jest czołowym kapistą i chlubą naszego malarstwa. Jego zadziwiające subtelne kompozycje kolorystyczne śmiało mogą współzawodniczyć z pracami sławnych malarzy dzisiejszej Francji. Okazja ta właśnie się nadarza, nie po raz pierwszy zresztą — bo Cybis odnosił już niejednokrotnie sukcesy na wystawach zagranicznych. Bezpośrednio po zamknięciu wystawy w Poznaniu obrazy Cybisa pojadą na międzynarodowy pokaz sztuki na Biennale do Wenecji. Z tego nawet względu będziemy się cieszyć tą wystawą stosunkowo krótko: prawdopodobnie zostanie zwinięta już w pierwszej połowie kwietnia.

Wojewódzka Rada Kultury m. Poznania poczyniła na wystawie szereg zakupów. Zakupiono: „Studium" (nr kat. 8), „Akt na tle niebieskim" (nr kat 15) oraz „Chartres" (nr kat. 86). Muzeum w Szczecinie zakupiło martwą naturę „Zielony dzban i owoc" (nr 42) i jedną akwarelę. C.

Od kilku dni zamierzam opowiedzieć Czytelnikom o otwartej w Muzeum Wielkopolskim wystawie prac malarskich Jana Cybisa, ale jakoś za każdym razem odkładam pióro. I nie z lenistwa, czy braku tematu. Tak bujna i żywotna twórczość jest przecież wymarzonym drzewem dla krytyka-jemioły. Jednakże, trzeba szczerze powiedzieć, wystawa ta nieco onieśmiela. Nie dlatego bynajmniej, że Jan Cybis jest znanym i wysoko cenionym malarzem, bo to raczej powinno podniecać do podjęcia próby znalezienia własnego stosunku do uznanej wielkości.

„Kobieta przy stole"

Ale, stając wobec dzieła zaprezentowanego w wystawie, uświadamiamy sobie, że, aby sprawozdanie było cośkolwiek warte dla czytelnika w sensie komunikatywności zjawiska, powinno być właściwie także tworem artystycznym, powinno zawierać wartości w jakiś sposób współmierne z dziełem sztuki, o którym mówi. Szara, bezbarwna stronnica druku jakżeż może swą nudną kolumną wyrazić wrażenia, jakich doznał ubogi widz szumnie zwany krytykiem, stanąwszy w otwartych drzwiach do czarodziejskiego świata, będącego mieszkaniem i przywilejem tylko artysty.

Jednakże nie da się to zrobić inaczej — trzeba opowiedzieć zupełnie po prostu co się widziało, zdając sobie sprawę z ubóstwa mowy potocznej w stosunku do siły i bogactwa środków, którymi rozporządza artysta.

Na wystawie stajemy wobec blisko stu prac malarskich. Sto prac to dużo. Można się w pełni wypowiedzieć, można też stać się gadatliwym. Cybis mówi nam wiele, ale nie nuży ani na moment. Jego prace mają wspólną tylko wysoką klasę i wrażliwość kolorystyczną, natomiast całkowicie pozbawione są stempla jakiejś maniery. Każdy obraz jest świeżo zobaczony i rozegrany autonomicznie, bez mechanicznego powtarzania „chwytów" już raz użytych w innych obrazach, co spotyka się niejednokrotnie u innych malarzy. Kolor jest tu przeżyty od początku do końca. Każdy centymetr płótna bierze udział w grze całości; panuje tu zasada symfonicznego podporządkowania poszczególnych elementów naczelnej myśli utworu.

Harmonie kolorystyczne Cybisa nie tylko są bezapelacyjnie trafnie wyważone we wzajemnych stosunkach barw. To jest bardzo wiele już, ale nie wszystko. Kolorowy drzeworyt ludowy potrafi także wydać ton kamertonowy. Malarstwo Cybisa zaskakuje niebywałym zróżnicowaniem i wyszukaniem swych zestawień barwnych, wzbogaca nas o całą olbrzymią skalę nieprzeczuwanych i subtelnych odcieni i pogłębień kontrastu. To, co wydawało by się nam w rzeczywistości prostym akordem, staje się pod pędzlem Cybisa zachwycająco bogatą frazą. Jego subtelność w obserwowaniu i transponowaniu na kolor widzianego świata przewyższa o wiele „nieb" zdolność odczuwania koloru u przeciętnego „śmiertelnika", którego wrażliwość trzeba by długo kształcić, aby ją doprowadzić do stopnia, który osiągnął Cybis. Są ludzie, którzy mają niesłychanie wyostrzony smak lub węch i dochodzą do mistrzostwa w rozpoznawaniu np. win lub woni perfum. Cybis jest magiem koloru; w znawstwie i umiejętności zagrania koloru nie ma on wielu sobie równych.

Jeżeli weźmiemy na przykład taki jego „Akt na zielonym posłaniu", zadziwi nas, jak kunsztownie artysta rozpracowuje prosty zdawało by się kontrast jasnej zieleni posłania i różu ciała modelki. Neutralna szarość ściany za modelką znakomicie podtrzymuje grę zasadniczego kontrastu. Trzeba obejrzeć, jak bogata kolorystycznie jest w gruncie rzeczy owa szarość — nie ma w niej ani jednego miejsca głuchego na przepyszne zróżnicowanie pierwszych planów. Wtopienie postaci w płaszczyznę obrazu jest nieomylne, mimo, że akt nie traci nic ze swej plastyki i że nie mamy najmniejszej wątpliwości co do oddalenia planów w przestrzeni. Bogata, gęsta faktura potęguje wrażenie wibracji, artysta mistrzowsko oddaje różnice materiału ciała, lśniącej tkaniny i ściany.

Oglądając kolejno inne prace znajdziemy w nich tę samą świetność koloru i konsekwencję w dysponowaniu planami przestrzennymi. Zwłaszcza prace między rokiem 1939 a 1948 wykazują wielką dojrzałość i dyscyplinę w operowaniu bujnym żywiołem barwnym. Mam na myśli takie szczytowe osiągnięcia jak: „Studium" (1944), „Akt" (1947), „Zając" (1948), „Nad Ikwą" (1946), „Martwa natura z rzeźbą" (1946), „Martwa natura z rybą i kurą" (1947), „Akt" (na czerwonej draperii, 1946), „Krajobraz z Suffczyna z młynem" (1946), „Ryby" (1946), „Kwiaty w szklanym wazonie" (1939), „Martwa natura z turecką chustką" (1940).

Piękny i wysublimowany kolor prezentuje artysta w etiudach akwarelowych. Zastanawia nas ich lekkość, jakiej trudno się było domyśleć u mistrza gęstej faktury olejnej. Szczególnie impresje pejzażowe, zaledwie muśnięte barwą, uderzają swą trafnością i wytwornością. Żywiołową plamą charakteryzują się ostatnie notaty paryskie (Pont du Carousel).

„Pole zboża"

Krystyna Józefowiczówna

Nagrody artystyczne miasta Poznania

Jak już donosiliśmy jury Zarządu Miejskiego przyznało jednogłośnie nagrodę naukową stoł. m. Poznania na rok 1948 **profesorowi drowi Janowi Rutkowskiemu** i nagrodę artystyczną — **inż. architektowi Rogerowi Sławskiemu.** Osoby obydwu laureatów — związanych od dawna z Poznaniem — znane są szeroko społeczeństwu wielkopolskiemu, które z niekłamaną radością przyjęło wysokie wyróżnienie i zasłużone uznanie wybitnych działaczy na polu nauki i sztuki, cieszących się powszechną popularnością.

Prof. U. P. dr
Jan Rutkowski

Prof. U. P. dr Jan Rutkowski urodził się 8. IV. 1886 r. w Warszawie, jako syn Jana i Marii z Waleszyńskich. W Warszawie także uczęszczał do gimnazjum filologicznego, w latach 1905 do 1909 był zaś słuchaczem Wydziału Filozoficznego na Uniwersytecie we Lwowie, a w r. 1909 uzyskał tamże na podstawie rozprawy pt. „Skarbowość polska za Aleksandra Jagiellończyka" tytuł doktora filozofii. Rok 1909/10 spędził w Rzymie, jako członek ekspedycji naukowej Polskiej Akademii Umiejętności, a w latach 1910—12 przebywał na studiach naukowych w Paryżu. W r. 1912 rozpoczął służbę w Biurze Statystycznym Wydziału Krajowego we Lwowie, skąd w r. 1918 przeniósł się do tworzącego się wówczas w Warszawie Wydziału Statystycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przemienionego niebawem w Główny Urząd Statystyczny, gdzie w r. 1919 został naczelnikiem Wydziału Statystyki Rolnej. W r. 1917 habilitował się z ekonomii politycznej na Wydziale Prawa i umiejętności politycznych na Uniwersytecie we Lwowie, w tym samym roku został współpracownikiem Komisji Prawnej Akademii Umiejętności. W 1919 r. został profesorem nadzwyczajnym, a w r. 1920 profesorem zwyczajnym historii gospodarczej na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. W r. 1922/23 piastował godność dziekana tego Wydziału. Od r. 1917 współpracował z Komisją Prawną, od 1924 r. był członkiem korespondentem, a od r. 1932 członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności. W r. 1918/19 członkiem Komisji, a od 1926 r. członkiem Rady Naukowej Kasy im. J. Mianowskiego w Warszawie. W 1920 r. piastuje godność wiceprezesa, w 1921 r. sekretarza generalnego, a w latach 1921—28 przewodniczącego Komisji Historycznej Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk. Od r. 1932 jest również członkiem zwyczajnym Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Liczne prace ogłoszone drukiem w języku polskim i francuskim z zakresu nauk ekonomicznych świadczą o szerokim wachlarzu zainteresowań profesora Rutkowskiego.

*

Inżynier-architekt Roger Sławski jest urodzonym poznaniakiem, gdzie jako syn Stanisława i Konstancji z Ziółeckich 24 marca 1871 r. ujrzał światło dzienne. Gimnazjum Humanistyczne ukończył w Poznaniu, a Politechnikę w Charlottenburgu w r. 1895 z Wydziałem Medycznym. Przez długi okres czasu piastował godność naczelnika Wydziału Wojewódzkiego. Do ważniejszych jego dzieł należą konstrukcje architektoniczne kościołów: w Ostrowie, św. Trójcy w Bydgoszczy, w Kępnie (pow. ostrzeszowski), w Lisewie, w Kamieńcu, w Słupi, w Odolanowie, w Rakoniewicach (pow. babimojski). Do jego dzieł należy również szata architektoniczna Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu oraz gmachów: Banku Przemysłowców „Union", Hoteiu Francuskiego, Szpitala św. Józefa, następnie: Tow. Wzajemnych Kredytów i Banku Ziemi Kaliskiej w Kaliszu oraz Banku Ludowego w Środzie. Według jego projektów zbudowano pałace: Ks.

Inż. archit.
Roger Sławski

O. Czartoryskiego w Sielcu (pow. krobski), ks. Druckiego-Lubeckiego w Dłoniach (pow. krobski), hr. Stefana Mycielskiego w Wolsztynie, hr. Żółtowskiej w Strońsku, Alfreda Chłapowskiego w Bonikowie (pow. kościański) oraz szereg dworów na terenie Wielkopolski.

Inż.-architekt Sławski otrzymał również szereg nagrodzonych projektów za granicą, a mianowicie: Ratusza w Lipsku (II nagroda), Kurhausu w Wiesbadenie (III nagroda), kościoła św. Elżbiety we Lwowie (projekt zakupiony), ratusza w Bremie (II nagroda) i wiele innych. Na Powszechnej Wystawie Krajowej w r. 1929, gdzie był architektem naczelnym, wykonał: westibul, halę centralną, halę przemysłu włókienniczego, halę przemysłu ciężkiego, pawilon Chemii Uniwersytetu Pozn., (wspólnie z E. Madurowiczem), pawilon Anatomii U. P. (wspólnie z E. Madurowiczem), „Polonię" zagr. oraz pawilon prasy. **(ts.)**

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

W drodze

Dźwigając ciężką walizkę, z przysznurowanym do niej mocno kocem, zwiniętym w rolkę, wyszedł z trudem z sali dworca na peron i wwindował się do najbliższego wagonu.

W wagonie było dość przestronnie.

Umieścił walizkę, szamocąc się z jej ciężarem, na półce, rozpiął palto, usiadł w kącie na ławce, naciągnął z przyzwyczajenia kapelusz na oczy i zasłonił się gazetą.

Miał mocno kwaśny humor. Już od szeregu tygodni kisło w nim nieokreślone rozdrażnienie, obcy ludzie budzili impulsywną irytację, gniew i pogardę, chodził po ulicach z odpychającą miną, ponury, wszędzie był bezceremonialny i niegrzeczny.

Ostatni dzień — wyjazdu z miasta, spotęgował w nim jeszcze ten nastrój.

Winna była i pogoda.

Między kamienicami świstał lodowaty wiatr, podrywając nieoczekiwanie kurz z kamiennych chodników, niekiedy z jałowych i wyblakłych chmur spadało kilka wstrętnych kropli deszczu. Niebo było rozwalone w sine, stare rumowisko, przez które szybko przewiewały białe, spłoszone mgiełki.

W tramwaju siedział z kamienną twarzą, w głębi duszy powstawały w nim dosadne aforyzmy, formułowane w żołnierskich skrótach. W wagonie z nienawiścią zakrył się gazetą, usiłując nie patrzeć na wstrętne gęby obecnych.

W zamazane szyby uderzał wiatr i krzyczał cieniutko, w wyłupanej szparce w rogu okna. Wpadający do środka powiew był zimny i dokuczliwy.

Pociąg ruszył, a on wtulony żałośnie i bezradnie w kąt ławki, próbował drzemać.

Zapadła cisza. Koła wagonu stukały pośpiesznie, szyby drżały dźwiękliwie, przed całkowicie obojętnymi oczyma przesuwały się pola, drogi, chatki, laski ciche i martwe jeszcze, ołowiane stawy, na których uporczywy wiatr z trudem wyciskał fale.

Ruch powoli rozkładał w nim ową gniewną zaciekłość, powstawały niewrażliwość, rezygnacja, prawie że apatia. W tym stanie myśl o papierosie zrobiła mu przyjemność, odłożył gazetę i sięgnął ku kieszeni palta, gdy nagle znowu przejęła go poprzednia ironicznie nienawistna wzgarda do świata i ludzi. Dopiero po kilku chwilach zdobył się na skinięcie głową panience, patrzącej nań z vis à vis pomieszanymi i nieprzyjaznymi oczyma. Odpowiedziała chłodno na ukłon i niezdecydowanie wysunęła ku niemu rękę. Przyjął jej dłoń, bez zbytniego pośpiechu, z godnością. Usiłował odsunąć się jak najdalej w kąt, uwolnić możliwie od tej obecności, czuł się fatalnie, akurat jeszcze tego potrzeba było, aby nastrój jego stał się doskonały. Zapalił papierosa, daleki od częstowania kogokolwiek, zakrył się lekceważąco gazetą i, przymknąwszy powieki, udawał, że drzemie.

W wyobraźni jego stała wciąż antypatyczna twarz i postać dziewczyny. Spośród panien, pochodzących z tej samej co i on okolicy, z którymi w jednym czasie ukończył gimnazjum, tej właśnie nie znosił najzupełniej, chociaż myślał o niej dość często; miał pecha, że wpadał na nią wiele razy i zawsze takie przypadkowe spotkanie psuło mu humor. Widok jej zbyt spokojnej, trochę gorzkawej twarzy, nie wiadomo dlaczego, budził w nim uczucie osobistego poniżenia, to, że widywał ją prawie zawsze samą, obojętną i niewrażliwą, irytowało go

dźwigając ciężką walizkę

w jakiś przykry sposób. „Czeka na królewicza, a ma do wszystkich pretensję, że przeszkadzają jej dosięgnąć niebieskich migdałów" — myślał.

Z tych powodów kłaniał się jej zwykle, jakby ironicznie, czy wzgardliwie. Odpowiadała na to po chwili dopiero ?, tak, że nie był pewien, czy mu się odkłoniła. Uważał ją za prowincjonalną gęś, której w obrzydliwy sposób przewróciło w głowie wielkie miasto.

Świadectwo dojrzałości otrzymał w jednym z miasteczek. Nie znosił go wprost chorobliwie z powodu jego charakterystycznej atmosfery kulturalnej i uosobieniem tej atmosfery wydawała mu się właśnie spotkana pannica. Dawny jego bunt przeciwko tym wszystkim przesądom małomiasteczkowego życia, niesławna nieraz z nimi jego walka, przyszły mu na pamięć, gdy widział przed sobą tę dziewczynę.

Trzęsąc się w takt hurkotu kół w swoim kącie za gazetą, z przymkniętymi oczyma, myślał o pannie ze złością i rozdrażnieniem. Gdy poprawiała się na swym miejscu zamaszyście, niekiedy dotykała kolanem jego nogi, którą cofał wnet, skwapliwie.

Nie mówili do siebie nic. Żadnemu nie mogło przejść przez gardło pierwsze słowo. Na koniec usnął. Myśli poczęły odchodzić od niego, mętniały wrażenia, dźwięki blakły, rozpływały się w błogi szum, aż zapadł w cichy, przytulny bezwład.

Gdy się ocknął, gwałtownie zdarł z twarzy pogiętą gazetę i spłoszony rozejrzał się wokół niespokojnie. Panna stała przy oknie i paliła papierosa. Pęd wiatru odchylał na stronę jej jasne, krótkie włosy, kilka górnych pasemek trzepotało się stale w podmuchach. Wciągała głęboko do płuca dym i wypuszczała go sztucznie, ruszając zręcznie wargami. Niekiedy przechylała się ciekawie jak dziecko patrząc wzdłuż mknącego pociągu. Pokazywała wtedy silne nogi, odziane w cienkie, bardzo ładne pończochy. Czuł w sobie teraz naturalny spokój, zapalił papierosa i swobodnie czytał gazetę, gdzie znalazł kilka ciekawych wiadomości. Kiedy panna odeszła od okna i zajęła swoje miejsce, spojrzał na nią spoza arkusza i chmury dymu, rzeczowo. Zagłębił się w lekturze, zapomniawszy na moment o otoczeniu Dziewczyna zerknęła na niego niedbale, odwróciła głowę i nieruchomo patrzyła przed siebie, dając się jakby bezwładnie unosić pociągowi.

Poruszyła się wreszcie i oczy jej padły znowu na twarz znajomego. Wyczuła, że jest on gazetą zajęty naprawdę, że nie udaje, jak przed tym, pilności w czytaniu, więc pozwoliła sobie na dłuższą chwilę obserwacji.

Był mizerny. Blada, ściągnięta twarz o podkrążonych oczach, na które nasunięty był kapelusz sposobem tajemniczych typów z kryminalnego filmu. Palto miał podniszczone, wytarte, choć ze śladami dobrego kroju. W całej postaci widoczne było zmęczenie i wycieńczenie, które przez kilka kresek przy wargach nadawały jego ustom wyraz pewnej, wyblakłe słodyczy, chude i nerwowe ręce trzymały łagodnym ruchem gazetę, wchłaniał dym i wypuszczał przez nos, z zupełną obojętnością dla własnego zdrowia.

Popiół spadał na spodnie, wysuwające się spod poły palta szerokim płatem i na świecący czub pantofla. Dziewczyna od niechcenia wodziła spojrzeniem po tej sylwetce, lekki uśmiech rozchylił jej usta i rozjaśniony na chwilę wzrok zatrzymała ponad kresą kapelusza, na emaliowej tabliczce z zakazem przewożenia nabitej broni, wybuchowych materiałów itd.

Przez kilkanaście minut padał deszcz, który zjawił się wnet, gdy tylko ucichł wiatr. W ciszy, bo i monotonny stuk kół wagonu należał do ciszy, spływał po oknach jego rzęsisty plusk. Teraz

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Pomówmy o geografii

Ile masz lat Ziemio?

Jest bardzo stara... mocno zgięły się jej garbate górami plecy, powypadały zęby najwyższych szczytów świata, nie pamięta dnia swych urodzin z chaosu i kosmicznych mgławic — a jednak trwa i coraz się w innym miejscu swej powierzchni odmładza. Bardzo stara jest Ziemia! Czy też na ludzkie lata i ich zwielokrotnione ilości obliczył ktoś w naukowych pracowniach wiek tej Ziemi? Czy zbadał ilości okresów „zimowych i letnich" pór? Czy to w ogóle możliwe? Bo że się o starych skrzypcach włoskiego pochodzenia mówi, że mają „trzysta lat" — no, omyłka ostatecznie niezbyt żenująca. O jakiejś skamielinie w muzeum przyrodniczym lubi domorosły „cicerone" mówić, że liczy ona sobie co najmniej milion lat. Tu już wodze fantazji opadły i rumaki poniosły nas w odległą i niczym niezmierzoną dal. No więc wreszcie: ile masz lat Ziemio?

Od chwili, gdy na powierzchnię młodziutkiej wtedy jeszcze skorupy ziemskiej spadły pierwsze wody atmosferyczne, minęło czasu nieokreślenie wiele. Kurczyła się ta skorupa, niczym skórka chleba. Powstawały łańcuchy górskie, zapadliny głębokie i obszerne niecki, wypełnione wodą oceanów — to znowu cały obraz ziemi zmieniał się do niepoznania. Na płaszczyzny lądów wdzierało się morze, ustępowało po kolei i cofało się na dawne miejsca. W oceanicznych głębinach żyły dziwne ryby i głowonogi; ich skorupki i szkieleciki opadały na dno i grzebały się w odwieczny cmentarz. Siły górotwórcze dźwigały znowu te mroczne dna oceanów w wysokość niebotycznych wierzchołków górskich i oto oczom współczesnego człowieka skała okazywać poczęła owe skamieniałe już całkiem resztki dawnych zwierząt... Dziś już nie ma takich! „Przedpotopowe potwory" mówi się o nich niezbyt właściwie, choć jednak mimo wszystko dość ściśle. One właśnie najlepiej nam tłumaczą „względny" wiek skorupy ziemskiej. Bo jeśli geolog młotkiem wybije z warstwy skalnej dobrze sobie znane skamieliny, gdy określi z całą dokładnością gatunek danego zwierzęcia — może stwierdzić, że „ta" właśnie warstwa skalna, z której skamielina dopiero co opisana pochodzi — jest starsza lub młodsza od swych warstw sąsiednich.

Paleontologia — nauka o kopalnych zwierzętach i roślinach — uczy człowieka o rozwoju świata żywych istot na powierzchni ziemskiej. I ta daje najwięcej dowodów na ów „względny" wiek. Z całą już obecnie dokładnością można powiedzieć o każdej prawie skamielinie, czy jest „starsza" czy „młodsza". Ale myliłby się zapalczywy miłośnik wiadomości dobrego i złego sądząc, że wie wszystko. Niestety — paleontologia nie odpowie mu na najważniejsze pytanie, w tytule pogadanki postawione: „Ile masz lat Ziemio?".

Angielskiemu fizykowi Williamowi Thomsonowi zawdzięczamy przecież pierwszą próbę odpowiedzi na to dręczące ludzi nauki pytanie. Działo się to w roku 1862 — na krótko przed próbą uzyskania niepodległości w Polsce. Jak się potoczyły wnioski Thomsona? Słońce i Księżyc przyciągają ku sobie falę przypływu oceanicznego, co znowu powoduje minimalne ale „uchwytne" zwolnienie obrotu naszej Ziemi dookoła swej osi. Gdy ten sam Thomson dowodził „stałości" jądra ziemskiego na tle obliczeń syna Darwina — łatwo mu było drogą dedukcji wyprowadzić przeciętny wiek ziemi. Granice były jednak aż nadto rozpięte: od 20 do 400 milionów lat! Obliczenia prowadzone według znanych praw o utracie promieniującego ciepła. Thomson jednak nie zadowolił się taką „niespodzianką". Około pół wieku temu ogłosił nową i dokładniej opracowaną koncepcję, w której przypuszcza, że wiek ziemi od chwili jej ostygnięcia nie przekracza 40 milionów lat.

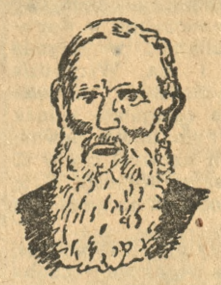

William Thomson (Lord Kelvin)

Eugeniusz Romer innych metod użył do rozwiązania tej zagadki. Przypuszcza, że dawne, te pierwotne oceany miały wodę tylko słodką. Zasoliły ją dopiero rzeki, niosąc do swego „cmentarza" wypłukane ze skalnych warstw sole mineralne. Romer twierdzi, że znana jest masa wód oceanicznych i znana ilość wody z „cyrkulacji" po ziemi... można tedy obliczyć czas, jakiego potrzeba, by się odnowiła cała masa wód oceanu wszechziemskiego. Odnowiła się ona jakieś trzy tysiące razy, co w wyniku daje potworną już ilość 158 milionów lat „ziemskich"!

Inni wzięli sobie za przykład osady na dnie oceanów i „tempo" ich powstawania. Austriackiemu geologowi i geografowi Penckowi wynikło z takiego rachunku około 135—187 milionów lat. Jakżeż więc poradzisz sobie ciekawy świata czytelniku z tymi rozbieżnościami? Coraz trudniej na pytanie odpowiedzieć... Ostatnimi czasy przyszły nowe teorie i nowe obliczenia. Botanicy dowiedli, że pyłki kwiatowe drzew, mając niezwykle twardą skorupkę, stanowią „legitymację" dla interesujących badań nad minionymi klimatami i czasem ich trwania. Obliczono nawet ilość lat od ustąpienia wielkich lodowców, które zalegały ziemie Polski właśnie przy pomocy botaniki. Stwierdzono w innych badaniach, że z pewnych skał „ulatniają się" w minimalnym stopniu niejakie pierwiastki. I na tej podstawie próbowano obliczyć wiek tych skał... Dosyć, dosyć! Nie łatwo jednak na pytanie dać szczegółową odpowiedź! Ziemia jest bardzo stara i nikt jej wieku dotąd dokładnie nie dociekł!

Globus

FELIETON KULTURALNY

BUNT przeciw fryzjerom literatury

Gdybyś Czytelniku prasy codziennej miał pieniądze, czas i cierpliwość przedzierać się przez splątane gąszcza licznych ale niestety zbyt drogich na naszą kieszeń czasopism literackich, w głowie twojej powstałby mniej więcej taki obraz: na ogromnym wydeptanym polu wielka rzesza ludzi zgłodniałych wyciąga namiętnie ręce do góry — po strawę duchową — to czytelnicy i ci którzy mogliby być czytelnikami. Niestety pokarm nie nadchodzi, gdyż wyciągnięte ręce są wprawdzie bardzo liczne ale za to puste.. Pośrodku placu wznosi się niby piramida wysoka wieża z kości słoniowej. Na jej niższych stopniach uwija się żwawo spora gromadka młodzieży literackiej, zapatrzonej w górę, ku palankinowi na szczycie, i powstarzającej nabożnie podchwycone stamtąd sentencje. Na wierzchołku, w pozłacanej klatce siedzi, pół leżąc w niedbałej pozie, kilku wielkich bonzów pióra ze starannie wystudiowanym „pramądrym" uśmieszkiem na ustach. Obok nich krzątą się z rasową usłużnością (niby kelner pierwszorzędnego lokalu) szczupły klan uczonych krytyków.

Wielcy bonzowie pióra rzucają od czasu do czasu na głowy wyczekującej tłuszczy listki swego geniuszu z hieroglifícznie wycyzelowanymi na nich zaklęciami w rodzaju: „Esyfloresy życia", „Sadzawka bodeńska", „Nowele luxemburskie" itp.

Co tu kryć — opinia publiczna nie jest zadowolona z dostarczanych jej książek. Istnieje niewątpliwy rozdźwięk między tym, co społeczeństwo oczekuje od literatury, a tym co ta literatura mu daje. Czytelnik, który zamyka na chwilę książkę swego czynnego życia, po to by otworzyć książkę większości współczesnych literatów polskich, musi wykonać zabójcze salto mortale i obrócić swoje nastawienie duchowe o 180 stopni, doznając nieznośnego uczucia rozdwojenia i oderwania od rzeczywistości.

I cóż to takiego zarzuca społeczeństwo swoim literatom?

Przede wszystkim, że nie mogą oni znaleźć drogi do wrażliwości powszechnej, do sumień, namiętności i zmysłów ogółu, gdyż zamknięci są w miniaturowym światku własnych doświadczeń psychologicznych i ideowych, w swojej — jak to się określa — wieży z kości słoniowej.

Poza tym to, że utracili bezpośredni stosunek do słowa, że używają wysztucznionej mowy, wyodrębnionej z języka inteligenckiego przez przesadnych speców stylizatorskich. Podczas gdy na szerokim świecie dawno już sprozaizowano język poetycki, u nas ciągle jeszcze (mimo dwóch takich wojen) pokutują pogrobowcy młodopolszczyzny z jej niemożliwą dziś do strawienia, wprost chorobliwą manią metaforyzacji. Ciągle istnieje u nas moda na robotę jubilerską, na tzw. fajność miniaturową. Ciągle jeszcze pierwsze skrzypce w naszym piśmiennictwie grają „fryzjerzy literatury", którzy za szczyt artyzmu uważają ondulowanie słów i myśli, ondulowanie tak misterne, iżby wywoływało przyjemne rozkołysanie umysłu i wzruszeń.

„Literaci zdradzili lud — pisze nie tylko Żółkiewski w marksistowskiej „Kuźnicy", ale i Kisiel w katolickim „Tygodniku Powszechnym" — zaparli się samych siebie, przestali być nosicielami prawdy prostej, kanciastej i jednoznacznej, intelektem zaś posługują się jak giętkim aparatem taktycznej żonglerki. Pisarstwo to najbardziej moralna dziedzina sztuki: artyzm w literaturze jest ściśle związany z rzetelnością myślenia."

Zarzuca się ponadto literatom, że zamykają się w ghettach literackich w postaci przeróżnych „Klubów Pickwicka". Szukając przyczyn zła zarzuca im się nawet, że za dużo piją...

Warto się zastanowić nad tymi problemami, i dojść do jakichś konkretnych wniosków, gdyż na literaturę można wpływać i istotnie wpływa się za pomocą mało dostrzegalnych dla przeciętnego czytelnika instrumentów, jak np. krytyka, polityka wydawnicza itp. Dawno minęły czasy, gdy uważało się, że literat pisze „sobie a muzom", że arcydzieła wyskakują mu z głowy nagle jak starożytny deus ex machina. Dziś wiadomo, że pisarz pisze dla ściśle określonego czytelnika, a dopiero kiedy go nie wyczuwa — dla „kawiarnianych krytyków". Wiadomo również, że na twór jego składają się nawarstwienia wielu doznań uczuciowych i umysłowych, które można celowo wywoływać.

Jest faktem, że okres dwudziestoletniego międzywojnia opóźnił rozwój czytelnictwa w Polsce. Poza przyczynami politycznymi i społecznymi główną winę ponosi tu ówczesna krytyka, która bez opamiętania tępiła pisarzy spoza „sitwy", wyłącznie z formalnio-estetycznych założeń. Jest również faktem, że dzieła literatury światowej o trwałych wartościach estetycznych są zawsze proste, zrozumiałe i łatwo odczuwane przez całe społeczeństwo (Molier, Dickens, Cerwantes, Mickiewicz, Gorkij, Szołochow).

Przesubtelnione rzemiosło pisarskie „delfinów", rozszczepiających na czworo włos pusty wprawdzie, ale za to bardzo pięknie ondulowany, wcale nie jest nieodzowne dla stworzenia utworu o wielkiej wartości literackiej. Przykładem: Balzac, Tołstoj, Orzeszkowa, u których strona formalna nie była wzorem. Łamigłówki poetyckie różnych naśladowców Przybosia mają może pewien sens jako eksperymenty, ale „pod strzechy" idą nie te łamigłówki, tylko proste i silne uczuciowo wiersze Broniewskiego.

Poezja i proza ondulowana, owo piśmiennictwo literatów dla literatów, ma wartości wynalazcze i użyźniające. Jest — jak to plastycznie określił w ostatnim felietonie Borejsza — nawozem, z którego wyrasta złoty łan arcydzieł. I niczym więcej! I tak jak zboże pobiera pewien procent potrzebnych mu składników z nawozu, tak twórczość wielkiego kalibru czerpie od czasu do czasu z drobnego ułamku osiągnięć „łamigłówkarzy", udziwniających swoje płody ad absurdum. (Chesterton nazywał modernistyczną poezję środkiem na wymioty...)

Morze płomieni potrafi wywołać niekiedy mała iskra, jeśli trafi na łatwopalny materiał. Borejsza — niby „straszliwe dziecko" — nakłuł ostrą szpilką rozdęty do niemożliwości balon pięknо- i pustosłowia literackiego. Powietrze uchodzi z nieprzyjemnym sykiem, potworny balon flaczeje i wraca do dawnych rozmiarów, stając się na powrót tym czym w istocie nigdy być nie przestał: karnawałową zabawką możnych.

Jakież tedy z pobieżnych uwag powyższych rodzą się praktyczne wskazania dla pisarzy, krytyków i czytelników?

Wyrwać się spod złej mocy „fryzjerów literatury", nie snobizować się na słóweczka i myślątka ondulowane, zerwać brutalnie i raz na zawsze z manierą łamigłówkarzy, zejść z krętych ścieżek ghett wzajemnej adoracji literackiej i iść prostym jasnym gościńcem wielkiej literatury ludowej, kierując się odwieczną busolą pisarza, którą była, jest i będzie — prawda oraz miłość wszechogarniająca.

Jaski

Konkurs na krótkie opowiadanie

Na ogłoszony przed trzema miesiącami przez „Głos Wielkopolski" konkurs na krótkie opowiadanie wpłynęło około sto utworów. Już dziś, gdy prace te zostały przejrzane, na razie pobieżnie (ostateczny termin ich składania upłynął 15 marca) — możemy stwierdzić, że plon konkursu jest interesujący.

Prawdopodobnie spory procent utworów zakwalifikowany będzie do druku. — Co do nagród trudno jest w tej chwili przesądzić, ile zostanie przyznanych — w każdym razie niektóre opowiadania są dobrze napisane.

Tematyka jest najróżniejsza i przeważnie obraca się około zagadnień nam współczesnych. Uderza, że wypowiedzi są szczere — brak w nich pozy, jakiejś koniunkturalnej sztuczności obliczonej na efekt, odczuwa się, iż pióro brali do ręki ludzie, których natłok myśli i wrażeń zmuszał niejako do wynurzeń. Brzmi w utworach nuta raczej optymistyczna. Choć podkreślane są ciężkie warunki, w których przychodzi na gruzach budować nowe życie, ale po minionych burzach i niedolach ocknęła się w duszy ludzkiej świeżość nadziei i wiara w lepsze jutro.

Na wąskim odcinku zwierzeń (bo prace są oparte przeważnie na motywach autobiograficznych) kilkudziesięciu ludzi uderza wspaniała żywotność natury polskiej, dla której doznane, nawet największe nieszczęścia nigdy nie są ostatnim etapem i zawsze z nową, ufną energią przystępuje się do twórczej pracy choćby w najmniej sprzyjających warunkach. Osobowość ludzka wyłania się z ciężkich doświadczeń surowsza, realniejsza i bardziej nieugięta. Z trudności życiowych nie jest wyjściem nihilizm, kariera materialna nie jest drogowskazem, szczęście widzi się w pogodnym współżyciu z drogimi ludźmi i w umiłowanej pracy, choć nieraz droga jej wiedzie przez ciernie. Bardzo charakterystyczne jest pod tym względem opowiadanie, zatytułowane „Lekcja szczęścia".

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 18 kwietnia br. Numer „Świata" z tą datą przyniesie ostateczne rezultaty i nazwiska nagrodzonych autorów.

---

chmura już przeszła, wyjrzało czerwone, jak młoda dziewczyna, radośnie roześmiane słońce, pola zalśniły w blasku, na wymytą szybę wagonu padła różowa łuna. Odłożył gazetę, papierosa zoniótł w popielniczce i rozejrzał się po wagonie, gapiowato patrzył na tęgą niewiastę w czarnym palcie, ubogo imitującym futro. Panna wyglądała apatycznie przez okno.

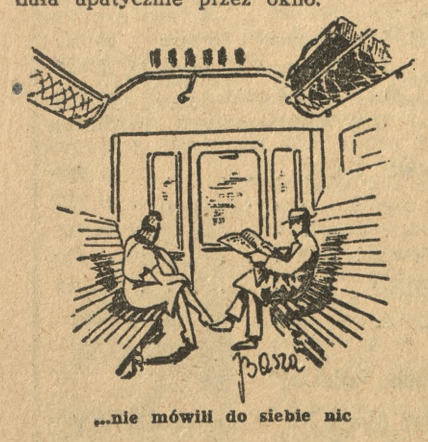

...nie mówili do siebie nic

Ogarnął go nastrój zupełnie swobodny. Każdy jego teraz ruch był potrzebny i celowy, obecność dziewczyny przestała go deranżować, nie mógł tylko patrzeć na nią inaczej, jak chłodno, obojętnie. W sąsiednim przedziale, już od dwu stacji, jechało kilku żołnierzy, ułanów. Próbowali wciąż jakieś instrumenty, brzęknęła, jęknęła struna w gitarze, rozdarła się skrzekliwie gama skrzypiec, zadrżało kilka basowych tonów harmonii i wreszcie wypłynęło bujną, wartką strugą modne tango.

Grali sprawnie i z zacięciem.

Słuchał bezwiednie melodii, senny i rozleniwiony.

Pociąg mknął z hukiem, przebiegały błyskawicznie przed oknami słupy telegraficzne, mieniły się i plotły blaski i plamy, sunącej szeroką płaszczyzną okolicy.

Tango brzęczało metalowymi dźwiękami, przeszywanymi ostrym rysem skrzypcowej gamy, z lirycznym szumem szły w dół i górę gęste, oliwne tony klarnetu.

Wtulony w błękitnawy półmrok, na skraju którego drżały kolorowe światła słońca, patrzył wyblakłymi oczyma przed siebie, poprzez wstające w duszy zwidy karnawałowe.

Niepewne, płochliwe spojrzenie dziewczyny przesunęło się po jego oczach, jak po szybie.

Żołnierze przechodzili z jednej melodii w drugą, wagon grzmiał i huczał, jak pudło rezonatora, wirując kipielą tonów i uczuć. Nagle urwali, a spojrzenia tych dwojga zatrzymały się nieoczekiwanie na sobie, bezradnie wpatrywali się w swoje oczy.

Nie wychodził z postawy znudzonego rozleniwienia. Wreszcie dziewczyna odezwała się z trudem, bezbarwnie:

— Jedzie pan do domu?

— Tak! — odpowiedział kwaśno.

— Mizernie pan wygląda! — próbowała uśmiechnąć się uprzejmie.

Osowiał i wzruszył się pochopnie, przejęty własnym nieszczęściem.

— Różnie się żyje! — wyrzekł posępny, z liryczną nutką w głosie.

Spoglądała na niego niechętnie, na nowo zrażona. On zrozumiał ten fałszywy nastrój i z niepokojem patrzył na przejrzyste, obojętne oczy panny. Znowu odchylili się w swoje kąty i przez mętniejące szyby wyglądali w znudzeniu na mrokiem gęstym okrywające się pola i laski. Znowu powstawała w nim półprzytomna senność, w której rodziła się znów antypatia do dziewczyny. Samopoczucie pogorszyło się znacznie.

Przez niedomknięte powieki widział nogi dziewczyny i eleganckie, płytkie pantofelki.

Uświadamiało się w nim coś, z czym walczył usilnie, nie dozwalał wydobyciu się z głębin niewiedzy.

Żołnierze znowu zawrzasnęli wyzywającym, jaskrawym tangiem.

Muzyka opóźniła jego decyzję przesunięcia wzroku z pantofli dziewczyny gdzie indziej. Ogarniały go z powrotem łagodne wzruszenia, wyrównywał się i wracał do swojej zwykłej, śmiałej inteligencji. Otworzył oczy i spojrzał jasno na sąsiadkę.

Wyglądała nadal przez okno. Miał teraz chęć wszczęcia z nią rozmowy, ale coś go tłumiło i żenowało. Podniósł gazetę i usiłował czytać ją po raz drugi. Niekiedy rozglądał się po wagonie. Dama w fałszowanym futrze drzemała z pochyloną głową, jak stara kura na grzędzie.

Jakiś chłop w długich, juchtowych butach, wyciągniętych przed siebie, spał z otwartymi ustami, jeżdżąc głową po oparciu ławki i wydawał dosadne świsty przez nos.

Mrok zapadł zupełny. Poza laskami przejrzystymi, dachami i białymi ścianami chałup, podnosił się znad horyzontu zwolna czerwony księżyc.

Na następnej stacji należało wysiadać. Panna wstała i ściągała walizki z półki. Pomagał jej w tym pochopnie. Przygotował swój bagaż i stali już między ławkami w mroku, patrząc oboje bezwiednie w kierunku tajemniczo rodzącego się księżyca.

— Pani jedzie również do siebie, na wieś!? — pytał, gdy szli już, obładowani pakunkami, na stację.

— Tak, chciałabym. Ale nie zawiadomiłam rodziców i konie prawdopodobnie na mnie czekać nie będą. Może przenocuję tutaj, a może pojadę dorożką! — mówiła szybko przechodząc wśród publiczności, przez poczekalnię, w kierunku zajazdu. Tutaj, rozejrzawszy się, spostrzegł chłopaka, czekającego na niego z bryczką. Wnet podjechał ku niemu z hałasem, kłaniając się i wciągając do siebie na „kozioł" walizkę. Dziewczyna z rękami, pełnymi pakunków, rozglądała się niepewnie, o chmurnej twarzy, nie zwracając uwagi na to, co robi jej towarzysz.

Ładował on walizę i patrzył na pannę uśmiechnięty. Wahał się, aż wreszcie przemówił:

— Kilka kilometrów jechalibyśmy razem, może pani w takim razie wsiądzie do mnie! Mogę panią podwieźć... odwieźć nawet — poprawił się.

Odwracała się ku niemu niechętnie i słuchała niedowierzająco. Patrzyła kilka chwil w milczeniu.

— Dobrze! — zdecydowała się nagle i podała walizkę chłopcu, od dawna już gotowemu do jej przyjęcia.

Odpiął skórzany fartuch i dziewczyna weszła na brykę, odsłaniając na moment lewą nogę aż poza kolano. Obszedł pojazd od tamtej strony, zajął miejsce, chłopak zaciął ostro konie i z energicznym turkotem wypadli na białą szosę, ciągnącą się długą smugą, wśród wysokich, rozczapierzonych wierzb.

Konie przeleciały przez tor kolejowy, na którym bryczka podskoczyła gwałtownie i biegły ostrym kłusem, raźno pacając kopytami, szosą daleką, zostawiając po obu stronach zagajniki, wsie pełne romantycznego szczekania psów i wesołych błysków lamp, uśpione, ceglane budynki, ciche zagrody nad traktem z wymownym gestem studziennego żórawia — szkliste stawy i rozlewy wiosenne z wypukłym grzbietem mostka, gdzie bryczka zaturkotała głośno a podkowy końskie zadźwięczały mocno.

Dawali się unosić biernie tęgim koniom, patrząc wesoło na świat, obejmowany zmrokiem, z którego głębi wiewały mocne zapachy, jak z pustych flaszek po skondensowanych perfumach. Napawały one piersi nową radością życia, wyzwalały optymistyczne nastroje. Rozchmurzył się najzupełniej, odrodził jakby. Było mu lekko i niefrasobliwie.

Istniał jakiś dziwny powód, przejmujący go uczuciem coraz większej szczęśliwości.

Trwali w zgodnym milczeniu, nie czując potrzeby odzywania się.

Czerwonawy księżyc wstępował smętnie i uroczo na zieloną lagunę, wśród białych pasm chmur. Widzieli go niekiedy poprzez proste pędy krzaków, rysujących się delikatnie na szerokiej tarczy, obok zadumanych chat, stojących w wielkich, słomianych czapach.

Otucha, ufność i słodycz snu promieniowały z tych widoków.

Przysunął się delikatnie do niej, spojrzał na twarz. Zdawało mu się, że jest równie rzewnie zamyślona. Czuł w sobie tkliwość. Widział jej profil, usta rozchylone marzącym uśmieszkiem.

— Czarujący wieczór! — odezwała się niespodziewanie szorstkim altem.

— Tak! — powiedział poufale.

W ciszy dźwięczał raźny bieg koni i turkotała sypko bryczka. Przy rowach zrywały się raptem i mknęły w tył mroczne sylwetki drzew. Ujrzeli w pełni pomarszczoną twarz księżyca,

(Dokończenie na stronie następnej)

JÓZEF HALĄGOWSKI

W rezurekcję

Wyszła procesja. Naprzód postępowały w gromadce dzieci. Za nimi łopotały chorągwie kościelne. Pod baldachimem postępował godnie z monstrancją ksiądz proboszcz, podtrzymywany przez wójta i kierownika szkoły. Tuż za baldachimem trzech najpoważniejszych gospodarzy niosło figurę Zmartwychwstałego Chrystusa, krzyż przepasany stułą czerwoną i świecę paschalną. Za nimi szedł lud. Pieśń „Chrystus zmartwychwstan jest — nam na przykład dan jest" biła pod poranne niebo, łączyła się z szumem starych lip, zgromadzonych przy murach, opasających kościół. A dzwony na wieży — dzwoniły, dzwoniły i dzwoniły — równo, monotonnie, srebrzyście. Stada tonów ulatywały i płynęły ponad śpiewem daleko nad rozległe pola, na których można było spotkać samotnego chłopaka, święcącego wiązką kłosów zieloną ruń oziminy. Leciały dzwony nad lasy i zagajniki, gdzie drzewa już wypuszczały zielone pączki, leciały nad drogami polnymi, przy których wierzby klęczały z srebrzystymi baziami. Dzwony wszystkim wsiom i wszelkim roślinom rozgłaszały rezurekcję.

Lud śpiewał coraz głośniej, z całych chłopskich piersi. Śpiewał poważnie, żywiołowo, jakby chciał przygłuszyć rozdzwonione dzwony kościelne.

Jeden tylko Stach Swobodny szedł w tłumie smutny i przygnębiony. Nie mógł śpiewać, bo coś mu wewnątrz przeszkadzało, coś go gryzło, niepokoiło i bolało. Czapkę miął w ręce. Drażniło go przepychanie się ludzi, drażnił go nawet śpiew. Chętnie uciekłby z tej rezurekcyjnej procesji. Ale nie mógł, jakaś żywiołowa siła popychała go z całą masą ludzką dokoła kościoła. Więc szedł.

Mimo woli przyszła mu na myśl siostra Marynka. Tak — ojciec chciał jej zapisać całe gospodarstwo. I słusznie, bo najwięcej na nim się napracowała. Ale kiedy po wojnie pierwszy wrócił do domu, kiedy pierwszy pług wpuścił w ziemię, żal mu się zrobiło, że ta ziemia nie dla niego. A potem — nim ojciec wrócił, ożenił się z Jadwisią Kowalówną. Zwierzył się jej, że ojciec ma dać gospodarstwo Marynce. Powiedziała mu na to: — Głupiś! Jak ty będziesz chciał, to jej dasz! To darmo będziesz na ziemi pracować, co? A ja ci mówię, że jej nie damy! My tu przyszli pierwsi, więc nasze pierwszeństwo.

— I zrobiłeś źle — mówił mu głos wewnątrz. Jak osę natrętną odpędzał myśl, że wypędził siostrę ze szwagrem z gospodarstwa, a ojcu powiedział, że nie ma tu nic do gadania. Matka niebo szczyca po całych dniach się zapłakiwała.

Matka... O Jezu — szarpało go wewnątrz. Nie! Nie chciał myśleć. Odgarnął opadające na czoło włosy i nagle podjął śpiew:

Chciały Chrystusa pomazać,
Jemu cześć i chwałę dać —
Allelujа!

Do głowy coraz to inne przychodziły wspomnienia i refleksje. Ni stąd ni zowąd przyszła mu na myśl rozmowa z Marynką, która osiedliła się w sąsiednim rozparcelowanym majątku na paru hektarach. Prosiła go o pomoc w orce i siewie: — Przecież możesz mi to zrobić! — Ale Stach nie usłuchał. A teraz słowa te paliły go ogniem, ciążyły jak kamienie w piersiach. Coś zrobił? — wołał głos wewnątrz — coś zrobił? — Ale sam byś nie zdążył własnej ziemi obrobić! — usprawiedliwiał go zaraz drugi głos. — Nie, to nieprawda! po jarmarkach się rozjeżdżałeś, a siostrze pomóc nie mogłeś! — szeptało mu coś w ucho. — Ojciec ci przecież przygadywał, a tyś udawał głuchego alto się wymiawiałeś brakiem czasu.

Powiedz nam Maryjo,
Gdzieś Pana widziała?
Widziałam Go po męce,
Trzymał chorągiew w ręce
Allelujа!

Tłum śpiewał. Procesja już wstępowała w bramę kościelną. Chorągwie pochylały się i znikały w głębi. Stach zatrzymał się przy murze. Popatrzał na ciągnące się tuż za kościołem pola. Na czarną linię lasu, nad którą coraz bardziej czerwieniło się niebo. Na ciemne chmurki obramowane od spodu złotą barwą. Spojrzał w górę na rozdzwonioną wieżę. Sam czub z krzyżem płomienił się. Przez chwilę zapomniał o roju natrętnych i przykrych myśli.

Ale kiedy znalazł się w kościele znowu go opadły. Otwarł modlitewnik, ale nie doczytał do ewangelii. Znowu mu coś szeptało: — Marynka to przecież siostra, musisz jakoś załatwić! Jeszcze dziś! Musisz! — Nie, dziś nie, mam czasu! Przecież trzeba jechać na święcone do domu — bronił się. Niegodny byłbyś, słyszysz? Niegodny byłbyś! — krzyczało mu coś wewnątrz. Nie mógł dłużej znieść tej walki. Uklęknął. Rozbolałe czoło tarł dłonią, wreszcie uległ, Tak — dzisiaj, zaraz, albo nigdy...

Ręką nakreślił znak krzyża: — Panie Boże, pomóż mi, pomóż mi... szeptał modlitwę, nie zapisaną w żadnym modlitewniku, płynącą z głębi serca. — Daj mi przeprowadzić zamierzenie... Ojcze nasz, któryś w niebie...

Organy huczały. Wypełniły melodiami cały kościół pod sam strop. Kiedy chór umilkł i roztańczyły się klawisze, zdawało się, że kościół jest za mały. Nagle przycichły. Organista przygrał znaną melodię, potem posypały się tony organów ze śpiewem całego kościoła.

Wesoły nam dziś dzień nastał,
Którego z nas każdy żądał.

I Stach podjął śpiew. Teraz mu się inaczej śpiewało. Coś w nim się przełamało. W piersiach czuł dziwną lekkość i jakiś nadmiar siły. Więc śpiewał. Śpiewał głośno, coraz głośniej a w sercu wzbierała radość i ogarniał go błogi spokój.

Przy wyjściu z kościoła tłok był niepisany. Wszyscy śpieszyli się do domu. Gospodarze i młodzież szczególnie starała się jak najprędzej dostać do bryczek, aby być jak najszybciej w domu. Przecież stare wierzenie mówi, że kto pierwszy z rezurekcji wróci do wsi, ten najwcześniej zakończy żniwa. Rogalowie już siedzieli. Krzyżyńscy już ruszali.

Stach dopadł do swojej bryczki. Jadwisia z ojcem już siedziała. Konie odwiązał, ściągnął lejce i skierował nie na prawo ale na lewo. Batem świsnął — konie ruszyły z miejsca.

— Gdzie jedziesz? — usłyszał za sobą zaniepokojony głos Jadwigi. Nawet się nie obrócił.

— Do Marynki jedziemy! — podciął konie jeszcze raz.

— Czyś ty zgłupiał! Stachu, co robisz? Ja wysiadam! Słyszysz? Wysiadam!

— Wysiadaj, jak chcesz! — wycedził przez zęby. Teraz batem prał po koniach, bił je po zadach ze zdenerwowania, ze złości, z pośpiechu i ze... sam nie wiedział dlaczego. Coś go gnało, coś go pędziło ku pobliskiej wsi. Konie też wyczuły jego pospiech. Szły jak wiatr. Ludzie z przestrachu uciekali z szosy na rowy. Stach jechał jak szaleniec. Mijał jeden wóz, drugi, trzeci, wreszcie na wolnej przestrzeni mógł osiągnąć jeszcze większą szybkość. Nie patrzał, czy żona siedzi z ojcem w tyle. Zdawało mu się, że jeśli spojrzy na nich, pryśnie całe postanowienie. Dłonie od silnego trzymania lejców i bata zaczęły go boleć. Nie zwracał na to uwagi. Dopiero przyhamował konie, gdy bryczka wtoczyła się na bruk wsi. Skierował zaraz pod czworaki majątkowe. Stanął. Na rozgrzane konie zarzucił koce. Lejce przywiązał do płota. Nie pytał siedzących na wozie, czy zejdą, czy nie. Obojętne mu to było.

Wpadł prosto do izby.

Marynka nakrywająca stół, zdumiona odstawiła talerz z plackiem. Mały Jacuś przestraszył się, przybiegł do niej i kurczowo chwycił za spódnicę.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków... odpowiedziała siostra, patrząc na niego przestraszonymi oczyma.

— Przyjechałem was prosić na święta. Musimy załatwić nasze sprawy gospodarskie. Przecież tobie się coś należy, więc swoje musisz dostać. — Chciał dalej mówić, ale nie mógł. Nie mógł... Podszedł do okna. W drzwiach stał ojciec i blada Jadwiga.

Niedługo wszyscy siedzieli razem przy stole. Dzielili się jajkiem święconym. Potem Marynka drżącymi rękoma nalewała kawę do filiżanek. Pachniał placek.

Pokój od słońca, które przedostało się oknem i rozlewało się na stole i na podłodze — rozjaśniał się coraz bardziej. Było wiosennie, radośnie i dziwnie świątecznie.

Dlaczego Wielkanoc jest świętem ruchomym

Wielkanoc tegoroczna należy do najwcześniejszych, jakie zna nasz kalendarz. Wiąże się to z dość zawiłą rachubą czasu, której początki sięgają pochyłowy ubiegłego tysiąclecia. Twórcą tej rachuby był mnich rzymski Dionyzius, który zmarł około 550 r. po narodzeniu Chrystusa. Chociaż chrześcijanizm był już od 200 lat religią państwową, datowano wówczas wydarzenia i dokumenty nie od narodzenia Chrystusa, lecz zwyczajem dawnym według lat panowania cesarzy lub konsulów.

W niektórych krajach lata liczono od założenia państwa Seleucydów (312 r. przed Chrystusem) lub od bitwy pod Aktium (31 r. przed Chr.), później nawet od 1 roku rządów prześladowcy chrześcijan Dioklecjana (284 r. po nar. Chr.). Niezależnie od tego za podstawę rachuby czasu brano 15-letnie okresy podatkowe, indiktionami zwane. Sposób ten stosowano również w administracji kościelnej od 313 r. Pierwsze próby wzięcia narodzin Chrystusa za podstawę obliczania lat powstały pomiędzy 200 a 220 r. prawie równocześnie w Kartaginie (przez Tertuliana), w Rzymie (przez Hippolyta i na Wschodzie (przez Klemensa i Sekstusa Juliusza Afrykańskiego). Nie osiągnięto jednak porozumienia. Nie było nawet pewności czy Jezus urodził się w 41 czy w 42 roku panowania cesarza Augusta. Datę tę jednak wziął Dionizius za podstawę do swoich obliczeń.

Rok pierwszy, który ustalił Dionyzius, stanowiący obecnie podstawę rachuby czasu na całym świecie kulturalnym, ukazał się po raz pierwszy w kalendarzu wielkanocnym jako Tabula Paschalis pomiędzy 526 a 530 r. (nota bene: lata te nie istniały jeszcze wówczas). Dionyzius uzasadnił swoją rachubę w sposób następujący: „Przy rachubie czasu nie powinniśmy pamiętać o poganach lub prześladowcy chrześcijan (Dioklecjanie), lecz raczej rozpamiętywać śmierć męczeńską naszego Pana i Zmartwychwstanie gdyż wiąże się to z odkupieniem człowieka przez naszego Zbawiciela". Za punkt wyjścia wziął więc nie narodzenie Chrystusa, lecz Zmartwychwstanie. Według nauki Kościoła inkarnacja Chrystusa nastąpiła w łonie Matki Boskiej według obliczeń Dionyziusa 25 marca na 9 miesięcy przed 25 grudnia.

Myśl wzięcia 25 marca jako daty wcielenia (inkarnacji) zaczerpnął Dionyzius od Chiliasmusa, który nauczał, że historia rodu ludzkiego wyznaczona została przez Boga na 6000 lat. Rozpoczyna się 25 marca i kończy 25 marca 5501 roku w dniu wcielenia Chrystusa. Gdy Dionyzius ustalał datę 25 marca, jako pierwszy rok po narodzeniu Chrystusa był to akurat piątek, tj. dzień ukrzyżowania Zbawiciela.

Skąd powstał dzień 25 marca, który posłużył za podstawę obrachunków Chiliasmusa i Dionyziusa? Wszystkie ówczesne ludy kulturalne były zdania, że początek wiosny, tj. zrównanie dnia z nocą przypada na 25 marca zwany dniem „narodzin świata". Datę tę uważano również za początek roku.

Zwracamy na nią dlatego specjalną uwagę, że stanowi ona punkt wyjścia dla ustalenia corocznej daty wielkanocnej.

Tabula Paschalis Dionyziusa była na owe czasy dziełem wielkiej umiejętności. Mnich rzymski narzucił całemu kościołowi sposób obliczania świąt wielkanocnych. Kalendarz jego, który ogłosił, obejmuje 95 lat. Ustala w nim z astronomiczną dokładnością daty dni Wielkanocy. Posiłkował się on w obliczeniach swoich używanym wówczas w kościele od 200 lat 19-letnim cyklem księżycowym, który mówił, że nów i pełnia księżyca po 19 latach zawsze przypada na ten sam dzień miesiąca. Ponieważ 25 marca stanowi punkt wyjścia dla wcielenia i ukrzyżowania Chrystusa, a pełnia księżyca ściśle się z cyklem księżycowym wiąże, dzień Zmartwychwstania Chrystusa przypadać musi każdego roku na pierwszą niedzielę po pełni księżyca po 25 marca. W 1948 roku pełnia księżyca przypada na 25 marca, a najbliższą niedzielą jest 28 marca, więc dzień ten jest dniem Zmartwychwstania Pańskiego.

Tabula Paschalis Dionyzius szybko przyjęła się w Italii, Galii (Francji), Hiszpanii i Brytanii.

Beda Venerabilis „mistrz wszystkich sztuk swego czasu" (zmarł 725 r.) rachubę tę wprowadził do swej historii średniowiecza. Karol Wielki pierwszy zastosował nową rachubę lat w wydanych przez siebie dokumentach. Rzecz charakterystyczna, że później od innych nową rachubę czasu przyjęła Stolica Apostolska. Początkowo przy dacie stawiano słowa „ab Incarnatione Domini" (od wcielenia Chrystusa) zanim nie zaczęto używać stosowanego obecnie zwrotu „od narodzenia Chrystusa".

Na marginesie należy zaznaczyć, że wielki uczony Kepler w 1610 roku w rachubie Dionyziusa odkrył błąd. Król Herod, za którego panowania narodził się Chrystus, zmarł na 4 lata przed rokiem pierwszej rachuby Dionyziusa. Błąd ten nie przeszkadza jednak, że w dalszym ciągu świat chrześcijański oblicza lata i dzień Wielkanocy według rachuby czasu Dionyziusa.

Henryk Barański

PASZKWIL

Powiadamy często: ach, jakiż to wstrętny paszkwil. Naturalnie mamy na myśli złośliwy utwór publicystyczny, szkalujący w sposób więcej lub mniej dowcipny jakąś rzecz czy osobę. I na pewno przez myśl nam nie przejdzie, skąd słowo to pochodzi.

Tymczasem „Pasquillinus" był to wyłowiony w Tybrze w wieku XV, gdy specjalną czcią otaczano zabytki starożytności — tors antyczny. Ustawiono go na jednej z ulic Rzymu i ochrzczono mianem „Pasquillinus". Był to posąg bez rąk i głowy. Przyjął się zwyczaj używania go dla rozmaitych złośliwych „ogłoszeń". To znaczy po prostu wieszano na „zacnym" popiersiu zapisane świstki papieru. Dziś nazwalibyśmy to może pierwszym pismem humorystycznym w rodzaju współczesnych „Szpilek". Ludziska z ciekawością przystawali obok „Pasquillinusa", aby dowiedzieć się co i kogo ubrano w słowa złośliwe. Władza papieska surowo zabroniła tego rodzaju przekazywania wieści ale to nie poskutkowało. Zirytowany papież Hadrian VI nakazał utopić popiersie na powrót w Tybrze.

Ale jakoś nie było sądzone „Pasquillinusowi" zginąć w odmętach wód, gdyż do dziś dnia stoi — choć już bez zapisanych świstków — w cichym zaułku przy Piazza Navona. Uliczka nawet nosi nazwę Via del Pasquillino. **Este**

(Dokończenie ze str. 3)

który dostał się już spoza lasków, drzew i licznych dachów, na przepastne niebo, płynął zwolna, objęty nieznaną zadumą.

Młodzieniec milczał, wsłuchany w siebie i w pełną zapowiedzi ciszę przyrody, szemrzącej tylko delikatnie w mrokach. I nieoczekiwanie opadła go chęć mówienia, czynienia zwierzeń, starał się jakby zmienić rzeczywistość w upragnionym sensie. Odezwał się niepewnym głosem:

— Mam wrażenie, że pani mnie mocno nie lubi! Ilekroć panią spotkałem w Warszawie, miała pani na mój widok tak odpychającą minę?!

Milczała, patrząc spokojnie na miesiąc, od którego szły na ziemię delikatnie rdzawe światła. Powiedział znowu ociągającym się tonem, brzmiącym niezwykle czysto i daleko w czułym powietrzu:

— Dlaczego jestem dla pani niesympatyczny?

Odrzekła po kilku chwilach, ze smutkiem i lekkim rozdrażnieniem:

— Jestem tylko dla pana wzajemna! Wygląda pan na zarozumiałego i nienawistnego! Zdaje się, że pan ma do mnie jakąś pretensję, czy urazę? Mam wrażenie, że pan chce mnie strofować na każdym kroku!

Zmieszany, nie wiedział co powiedzieć, obojętny i trochę ironiczny ton dziewczyny przygnębiał go.

— No tak, mogłem się wydać pani niemiły. Ale pani pozwoli, że będę szczery. To co powiem, niech ma charakter, nie czego innego, tylko analizy przyczyn, z powodu których robiłem na widok pani miny nieraz tak szydliwe. Pani podobała mi się od dawna bardzo, możliwe, że jak to się mówi, podkochiwałem się w pani. Myślałem często w każdym razie o pani. Rychło jednak zacząłem panią nie lubić, bo zdawało mi się, byłem przekonany, że pani mnie nie raczy nawet jednym okiem widzieć, że pani marzy Bóg wie o kim, o królewiczu z bajki! Posądzałem panią o to, nie wiem dlaczego, że chce pani wyzyskać swoją urodę i wydać się z wyrachowaniem, odpowiednio za mąż, zdobyć luksus, futra, stosunki, kolacyjki, zbytkowne dancingi...

— Gdybym nawet nie marzyła o owym królewiczu — przerwała mu z lekkim uśmiechem — to nie dowód, abym miała marzyć o panu!

— No tak, może dlatego imputowałem pani te stany, że przeczuwałem niepowodzenie moich ewentualnych zabiegów w stosunku do pani i próbowałem się w ten sposób oszukać! Na dnie wszystkich moich dąsów na panią, leżało zawsze pragnienie i podziw, mimo wszystko! — wyrzekł otwarcie, patrząc na nie świecącymi oczyma. —

Dawali się unosić koniom, patrząc wesoło na świat obejmowany wzrokiem

Nie uznaję tak zwanej miłości romantycznej, ale muszę stwierdzić, że pani podobała mi się spośród wszystkich najbardziej! Dzisiaj jakoś to wszystko zrozumiałem, bo przedtem było to chyba nieświadome i bardzo jestem zadowolony, że znalazła się okazja, iż mogę pani o tym szczerze powiedzieć. Wyleczę się w ten sposób z owej niewłaściwej psychozy, a między nami zapanuje naturalny stosunek.

— Jak pan chłodno i obiektywnie o tym wszystkim mówi! Proszę mnie przeprosić za to, że był pan dla mnie tak niesprawiedliwy! — podawała mu rękę, dziwnie rozjaśniona, radosna. Oczy jej błyszczały, a usta uśmiechały się rozkosznie. Z tą samą straceńczą, pełną samozaparcia miną, przyjął jej chłodną i miękką dłoń i dotknął kilkakroć ustami.

Dziewczyna stała się ożywiona i nienaturalnie gadatliwa.

— Że też pan myślał coś takiego! Nie przypomina pan sobie pewnego balu gimnazjalnego, wygadałam się wtedy z jedną rzeczą?! Zwrócił pan, zdaje się, na to uwagę! Wyleciało to jednak panu zupełnie z pamięci. No, wie pan, szczerość pana jest wspaniała, aż się nią zaraziłam! Przyznam się i ja panu do wszystkiego. Otóż zwróciłam na pana uwagę od dawna i stale wyróżniałam pana w myślach przed innymi, mimo, że wyglądał pan tak zawsze dumnie i wzgardliwie. Coś mnie jednak w panu pociągało. Oburzały mnie w najwyższym stopniu ironiczne spojrzenia i miny pana, ale chciałam bardzo zbliżyć się do pana. Zrażał mnie pan jednak zawsze na nowo! Kto w tym nieporozumieniu winien? Chyba tylko pan, jeżeli pan to wszystko myślał, co pan mówi, trzeba było odważyć się, przyjść i powiedzieć mnie coś. Trzeba było zaryzykować! A tymczasem czekał pan nie wiadomo na co!!

— Tak, ale przed tym nie uświadamiałem sobie dobrze swoich stanów! Wolałem raczej nic nie objawiać.

— Nie, nie, nie ma żadnych tłumaczeń! Tu potrzebna tylko skrucha, proszę mnie pocałować natychmiast! — zawołała, zbliżając do niego uśmiechnięte usta i oczy pełne blasków.

Spółdzielnia CZYTELNIK Wydawnicza

NOWOŚCI WYDAWNICZE

DABROWSKA M. — **Noce i dnie.** Powieść. T. I Bogumił i Barbara zł 420
T. II Wieczne zmartwienie zł 420
T. III Miłość cz. I i II zł 940
T. IV Wiatr w nocy (w druku)

KOSSAK Z. — **Złota wolność.** Powieść 2 t. . . . . zł 750
RUDNICKI A. — **Żołnierze.** Powieść . . . . . zł 750
TOŁSTOJ A. — **Piotr I.** Powieść 3 t. . . . . (w druku)
ŻEROMSKI S. — **Ludzie bezdomni.** Powieść . . . . . zł 400
ŻEROMSKI S. — **Syzysowe prace,** Powieść . . . . . zł 265

— — — —

Biblioteka „Mathesis Polskiej"

JEANS J. — **Wszechświat.** Gwiazdy. Mgławice. Atomy. Tłum. Kapuściński W. zł 880
JEANS J. — **Podróż w czasie i przestrzeni.** Tłum. Gawecki B. . . . . zł 760

— — — —

GOJAWICZYŃSKA P. — **Dom na Skarpie.** Powieść . . . . . zł 320

— — — —

BRZECHWA J. — **Skarżypyta.** Ilustr. Siemaszkowa O. (Dla dzieci) zł 580
JANUSZEWSKA H. — **Jawor, jawor.** Ilustr. J. M. Szancer (Dla dzieci) zł 360
TUWIM J. — **Zosia Samosia** i inne wierszyki. Ilustr. Ha-Ga. (Dla dzieci) zł 500

— — — —

Żądać we wszystkich księgarniach.

W3b-448

Napisał: JÓZEF TUŁASIEWICZ

Ilustrował: EUGENIUSZ KITZMANN

POZNAŃ WIOSNĄ

...W zwierciadle wodnym ujrzysz najcudowniejszy refleks zachodzącego słońca
(Warta od strony mostu św. Rocha)

Wydaje się, jakby się nic nie zmieniało. Cóż zresztą zmieniać się może w mieście, gdzie każdy dzień jest tak podobny do drugiego, gdzie człowiek zdążając do pracy mija te same ulice, domy, wydeptuje nieomal ten sam ślad, niewidoczny na gładkim bruku. Co nowego może nieść życie, jaką barwę uczuć, gdy wiedzie zwykłym, utartym szlakiem, a godziny spędzone przy warsztacie, w biurze czy w domu dzieli troska o rodzinę i nowy dzień?

A jednak?

Może to co dzieje się wokoło nas, drobne zdarzenia i fakty, uśmiechy życia i piękna siłą ziemi przyroda, potrafią skupić naszą uwagę choćby w krótkich momentach, pogodnych jasnością i ciepłem wiosennego słońca. Takich chwil nie wymierzysz minutami i nie zatrzymasz. Przyjdą same, owładną tobą nagle i tak, jak znikąd przyszły, gdzieś nagle przepadną. Ale pozostawią swój dobroczynny wpływ. Jakiś wewnętrzny i nieuchwytny, a przecież tak silny, że bezwiednie poddasz się jego urokowi, czując w sobie potężniejącą falę szczęścia.

*

Pierwszy raz tego dnia wyszedłeś z domu. Skrzypnęła brama domknięta podmuchem wiatru, hulającego swawolnie wzdłuż i wszerz ulicy. Za chwilę sam znalazłeś się w jego sidłach. Zagarnął cię mocno uściskiem, owionął na chwilę zapachem przyniesionym gdzieś z daleka od pól, spoza krawędzi miasta. Głęboko wchłonąłeś ten zapach, by nagle odczuć, że oto sama przyroda wita cię wiosennym tchnieniem.

*

Ulice są jakieś inne. Warstwę brudu zmył z nich krótki, gwałtowny deszcz, a wiatr wytrwale zmiata resztki kurzu Spoza stalowych chmur przebiło się słońce i kaskadą ciepłych promieni padło na miasto. Wyciągnęły ku niemu ramiona nagie gałęzie drzew i krzewów, wyjrzały pędy roślin, wynurzyły się pierwsze pąki listowia i kwiecia. Rozpoczął się odwieczny wspaniały proces odnowy życia.

Władztwa wiosny nad miastem nic już nie zmieni. Przelotna chmura śniegu, dzień słoty czy zimna — to tylko kaprys natury. Ziemia wyzwolona z okowów zimy rosnąć będzie nowym życiem, rozwijać się tęczą barw.

Za kilka dni nie poznasz Poznania. Wiosna przystroi go kolorem świeżej zieleni, wspaniałą harmonią barw, ożyje wśród ulic, placów, w parkach, ogrodach, przysłoni nawet pozostałe gdzieniegdzie ruiny.

*

Beztroski uśmiech dzieci jest promienny jak słońce. Wabi wesołością, porywa siłą młodości. Tej młodości nie potrzebny jest do zabawy balast finezji i wytworne otoczenie. Wystarczy zwykłe podwórko, ulica czy park. Byle było tam dużo, dużo słońca.

Dzieci są szczęściem Poznania. Jest ich tu dwa razy więcej niż przed wojną. Stały się tak charakterystyczną cechą miasta, jak zieleń wytwarzająca w nim pełen pogody nastrój. A przecież kiedyś, gdy jeszcze nie było ich tak dużo, były już przedmiotem zazdrosnego podziwu marszałka Francji — Focha, patrzącego na niekończącą się defiladę dziatwy przed ratuszem poznańskim. Podobno, ówczesny włodarz miasta — Cyryl Ratajski miał wówczas odpowiedzieć: „Robię co mogę — panie marszałku!".

Spójrzcie na ulicę, usiądźcie na chwilę w jakimkolwiek parku. Gdy tylko zaświeci słońce, wnet zjawi się dzieciarnia całą czeredą. Rozsypią się perłami najmilsze z uśmiechów, rozjaśni oczy szczęście Może ten uśmiech przemówi do was przypomni szczęśliwe lata młodości...

*

zeroką lawiną wodną płynie Warta. Choć jej nurt nie grozi już powodzią, przybrał na sile i zalał przybrzeżne ławice piasku. W zwierciadle wodnym ujrzycie najcudniejszy refleks zachodzącego słońca, a kontakt z przyrodą stanie się bliższy w spojrzeniu na groźny żywioł.

Wspaniale można wypocząć patrząc na drobne fale muskane pieszczotą słońca. Roztoczy się przed wami daleka panorama miasta, do uszu dobiegnie echo pracy i odzew fabryk przeciągłym rykiem syren. Poznań rozciągający się szeroko po obu stronach rzeki, drugie co do wielkości miasto w Polsce ujrzycie w setkach kamienic, kominów i wież

Przechadzka da wam chwilę wytchnienia po ciężkim trudzie dnia. Zobaczycie ludzi garnących się do słońca i odradzających siły wiosennym oddechem dnia robotników fabrycznych łowiących ryby, zaczytanego w gazecie pana, akademika uczącego się ze skryptu, młodą mamusię skupioną nad robótką, dziewczęta i chłopców czytających książki.

Wiosna porwie was swą urzekającą siłą, pięknem budzącej się do życia natury, ludźmi co radośnie patrzą w świat i potrafią się cieszyć darami zwykłego dnia

*

Wieczór jest jakiś cieplejszy niż zwykle I taki bardzo spokojny. Latarnie nie gaszą już blasku gwiazd, które na czystej przestrzeni nieba migocą zapowiedzią pogody. Z otwartych okien płynie gdzieś cicha melodia. Wtórują jej akordem żywe młodością serca tęsknym oczekiwaniem miłości.

Miasto powoli otula noc mrokiem. I choć w jego murach widoczne są tylko skrawki wiosny, przecież wystarczy jej dla wszystkich. Lecz tylko dla tych, co umieją patrzeć i chłonąć piękno.

Można i tak, kiedy piesek nie ma obroży

Dzieci są szczęściem Poznania
Wiosenny dzień w Parku Wilsona.

Niewiele potrzeba do zabawy w skakankę Kawałek sznurka i... słońce

Tętni serce miasta

Jest świt. Ruszyły już pierwsze tramwaje. Puste na razie, zaspane suną zaspanymi ulicami. W pustych prawie wagonach siedzą skuleni pierwsi pasażerowie. Tych ludzi nie spotkasz w pełni dnia. Wraca oto blady i znużony kelner nocnej restauracji. Ziewa, a wciśnięte w kieszenie palta ręce przytrzymują okrycie. Zimno. Zmęczenie.

W drugim końcu ławki świeża i wygolona twarz poważnego człowieka ożywiona jest pełnymi blasku oczami. Kim on może być? Acha, to na pewno kupiec, udający się w podróż. Zdradzają go dwie walizki i wytworny pled. Jedna z walizek w formie wymoszczonego jedwabiem pudła do srebrnych nakryć. Ależ to na pewno wzory towarów. Kupiec. Z całą pewnością kupiec. Po drodze do tramwaju napływają na przystankach coraz to nowi i liczniejsi pasażerowie. Robotnicy. Zawiniątka pod pachą (chleb, flaszki z kawą), czapki (nigdy kapelusze) i niegolone twarze. Co dziwne, to nieobecność niewiast. O tej porze my „władcy" stanowimy większość.

*

Świt zamienił się w ranek, ranek w rano. Inaczej już dudnią tramwaje. Dzwonki, jakby radośniej brzęczały. No, pewno. Sen już, dawno uleciał z miasta. Czuwa tylko nad kelnerem, dorożkarzem, kolejarzem...

Na przystankach coraz większe grupy ludzi. Kto oni? Urzędnicy, młodzież szkolna, studenci, ekspedienci... ale teraz panuje już równowaga sił. Kobiety i mężczyźni zgodnie w liczebności — stanowią dwie połowy.

*

11 przed południem. Z trudem zdołasz wepchnąć się do natłoczonego wagonu. Dziwisz się — prawda? Jesteś, mężczyzno mizerną mniejszością w tym tłumie niewiast. Panie domu, gosposie, młode i — przepraszam — starszawe jadą do centrum miasta. Zakupy, sprawunki, wystawanie przed witrynami i ciastko z kremem, w modnej cukierni. Lecz trzeba wracać, kobieto. W domu na kuchni na „wolnym ogniu" piecze się mięso. Więc do tramwaju. Pełno. Oczywiście. Południe. Zmęczeni konduktorzy warstwują jadących do ostatniego wolnego centymetra kwadratowego. Jest nas władców, już nieco więcej. Bieganina po urzędach, po całym mieście, rozsypanych instytucjach — byłaby nie do zniesienia.

*

Ośmiogodzinny dzień pracy nie tak zmęczy jak wdarcie się na stopnie tramwaju. Szkoły i biura zamknięte. Do domu, do domu. „Chciałaby dusza do raju". Lecz teraz już tłumy atakują nadjeżdżające wozy. Łokieć i silny tors... szybciej osiąga dom.

O tej porze my, władcy jesteśmy w wybitnej przewadze.

*

Zaroiły się kawiarnie, teatry i kina. Nadjeżdżające stado tramwajów wyrzuca spragnionych rozrywki. Wśród ławek nierzadko spotkasz wytworną modnisię, wokół której unosi się dyskretny zapach „Soir de Paris". Pan obok stojący jest kopią tytułowej strony z żurnalu mody męskiej. Z pewnością jadą do teatru. Umęczone dzwonki tramwajów coraz to płoszą z jezdni licznych przechodniów.

*

W dalekiej willowej dzielnicy dudni na szynach pędząca „szóstka". Przystanek. Leniwie opuszczają tramwaj ci, których przed chwilą czarowały tony kawiarnianej muzyki, wielka symfonia koncertu czy natchnione słowa dramaturga.

Idą do jarzących się okien swych domów. Na końcowym przystanku tramwaj nawraca do ostatniego kursu.

*

Noc przymknęła powieki miasta. Śpi. Głucho dudni na wyludnionej ulicy nocny tramwaj. Spóźnieni pasażerowie ziewają. Znudzeni przesytem miejskich rozgrywek, ubrali swe twarze w zniechęcenie dandysów. Wielu z nich tryska jednak szampańskim humorem. Przed chwilą... bawili w towarzystwie Bachusa.

My, władcy przeważamy. Przeważamy dzięki tramwajarzom. Odprowadzają swe warsztaty pracy do remiz. Nareszcie dom. Nareszcie wypoczynek.

Dzwonki nawet zamilkły.

Nie ma na kogo dzwonić.

Pusta i cicha jest teraz ulica.

t. h. n.

Rozmawiamy z pomnikami

Bamberka i pręgierz

Doskonale zakorzenione i pokryte nowymi, wiosennymi pędami rusztowanie wokół wieży ratuszowej rzuca na oszronioną księżycem ulicę Wroniecką poszatkowany cień.

Bamberka wyprostowała się i wzruszywszy ścierpniętymi ramionami odstawiła ostrożnie, napełnione wodą konwie pod murem ratusza. Rozejrzawszy się badawczo wokoło, pobiegła w stronę Wielkiej i wyjrzała ukradkiem zza narożnika.

Stał na dawnym miejscu z mieczem na ramieniu. Nieistotny w zasadzie szczegół, jakim jest dla rycerza brak głowy, w jaskrawym świetle księżyca wydawał się bardziej uderzający, niż nakaz płatniczy na odbudowę Poznania.

Zaaferowana podeszła bliżej, i czyniąc wytworny dyg, zamiotła szeroką spódnicą chodnik, a ślad ten zapisano później z dumą na dobro Zakładu Oczyszczania Miasta.

— Dotrzymaliście rycerskiego słowa, dostojny panie — rzekła z nieśmiałą radością — wszakoż mawialiście drzewiej, iż z afektu dla mnie głowę tracicie.

Rycerz zaś, co w długich z niewiernymi Saraceny walkach przeróżnych się sztuczek był nauczył, drgnął i stłumionym głosem brzuchomówcy w te ozwał się słowa:

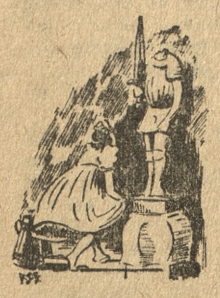

— Nie afekt to do waszmość pani, lecz błogosławiony casus wojenny sprawił. Jakże bym bowiem, głowę mając na karku mógł na tym słupie w rycerskiej wytrwać cnocie cierpliwości? Ongi już, gdy co dnia targ się tu odbywał, sztuką to było nie lada, ale teraz, gdy czwartek się zbliża — słusznie literackim zwany, bo niejedna dla tego w Piwnicy pęka literatka — niebiosom za kalectwo moje, od słuchania mnie zwalniające dank składam korny — wymownym a niechętnym gestem miecza wskazał na ratusz i salę Odrodzenia.

Odeszła więc Bamberka, tłumiąc łzy rozczarowania i nucąc cichutko zawiedzionym głosem:

„Jest noc gorąca i wszystko śpi". — Z nienawiścią spojrzała na swoje konwie, w których też było pełno wody i westchnąwszy założyła je na ramiona.

Porwanie Prozerpiny

Czegoś braknie na Placu Ratajskiego. — Inicjatywy w odbudowie? Owszem,, ale jeszcze czegoś.

Acha, już wiesz. Pomnika. Pomnika Plutona i Prozerpiny.

Chodzą słuchy, że chytry Pluton, korzystając z zamieszania w okresie walk o Poznań zrealizował swój odwieczny plan i wyszabrował Prozerpinę do Hadesu, pomimo jej teoretycznych protestów.

Nawet ludzie, nie znający Plutona osobiście skłonni są współczuć mu z racji tego niefortunnego połowu. Tak długo przecież zabawiał się beztrosko w tym swoim podziemnym królestwie wulkanami, trzęsieniem ziemi, czy innymi niewinnymi rozrywkami, aż zachciało mu się widocznie większych emocji i — w myśl przysłowia o babie, która nie miała kłopotu — przyniósł sobie do domu Prozerpinę.

Mój Boże, każdy brał w owych dniach, co było pod ręką. I niejedni, podobnie jak Pluton mają do dziś z tego powodu przykre konsekwencje. Należy jednak przypuszczać, że Pluton wyszedł na swoim łupie jeszcze gorzej, niż ktoś inny na poniemieckim fortepianie.

Tylko, że Pluton jest w położeniu o tyle lepszym, iż którejś pogodnej nocy, gdy mu b. ukochana za wiele płynnej lawy za skórę zaleje, będzie ją mógł odnieść po cichu na dawne miejsce. Ostrożnie złoży ją w sadzawce a potem zniknie tak, że nawet M. O. go nie odszuka.

Wywiad z pomnikiem Higiei

Pochyliła się na krześle i wytwornym gestem wskazała na podstawę pomnika, na której widoczny jest ślad po zdjętej swego czasu tablicy.

— Przypomina pan sobie zapewne, że przed wojną był tutaj napis, mówiący, iż „najlepsza jest woda". Wbrew utartemu mniemaniu, prawdy tej nie odkryto w środę popielcową. Początkowo, gdy byłam młodsza krępowało mnie trochę takie zestawienie. Pan rozumie: ja i woda. U nas w rodzinie zawsze bowiem bardziej ceniono błękitną krew lub wodę kolońską. No ale przyzwyczaiłam się. Później zresztą Niemcy ten napis zdjęli — zapewne w przekonaniu, iż głosi jakieś wywrotowe hasło. A może dlatego, że woleli piwo.

— Oczywiście dzisiaj odrestaurowanie tego napisu byłoby anachronizmem. Zwłaszcza w tym otoczeniu — tu Higiea zatoczyła ręką szeroki, lecz elegancki łuk. — Naliczyłam, iż mam w polu mego widzenia kilkanaście lokali, w których człowiek używający wody byłby zjawiskiem tak samo niecodziennym, jak śledź na stole wielkanocnym. — W zamyśleniu poprawiła fałdy togi i z westchnieniem spojrzawszy na Bibliotekę Raczyńskich dodała:

— Czy nie mógłby pan mnie objaśnić, po co ja tu właściwie siedzę? Zauważyłam, że przychodzące tu do wodopoju konie dorożkarskie tak się już przyzwyczaiły, że nie potrzebują mojego dozoru. A przy tym ich właściciele zdają się patrzeć na mnie podejrzliwie. Z powodu tej wody.

Z. KARCHOWSKI

TADEUSZ PASIKOWSKI

Powrót dzwonów

(Wspomnienie)

Snują się w mej pamięci wspomnienia wiosny mego życia — wiosny pełnej najcudniejszych barw i zapachów, zielonej i ukwieconej, rozśpiewanej i rozhasanej. Nie miałem wówczas więcej, jak 6 lat, a troski moje obracały się wokół spraw prostych i przyziemnych. Mieszkałem w miasteczku, wybrukowanym kocimi łbami, po których chodziłem niepewnymi jeszcze krokami. Nic dziwnego więc, że kolana moich, chudych jak patyki, nóg były bezustannie otrzaskane i pokryte czarnymi strupami. Czubek głowy zdobił sterczący wiecheć włosów tak sztywnych, że żadna szczotka ani zabieg kosmetyczny nie zdołały ich przygładzić. Kieszenie spodni wypełnione były cennymi przedmiotami, pośród których kolorowe szkiełka przedziwnego kształtu kamienie, kolekcja gwoździ i nakrętek były akcesoriami mych największych zainteresowań.

Opiekowała się mną babcia — niezwykła kobieta, jakiej drugiej nigdy nie było i nie będzie na świecie. Babcia nosiła długie, ciemne suknie i stroiła się w kapelusz z puszystym i powiewającym na wietrze czarnym strusim piórem. W mrocznej komórce tuczyła gęś twardymi jak kamień kluskami. Całe swe pracowite życie poświęciła bezustannej walce z kurzem, osiadającym każdego dnia na sprzętach naszych izb; z pluskwami, wciskającymi uparcie swe płaskie odwłoki w szczeliny łóżek i świętych obrazów; w końcu walczyła z klientami dziadka, opornie regulującymi rachunki i pieniężne zaległości.

Dziadek był moją największą dumą. Jego siwa głowa wypełniona była mądrością, jakiej równej nigdy nie poznałem w życiu. Dostojny spokój i niezwykła wyrozumiałość najmilszego w świecie staruszka stworzyły aureolę szlachetności wokół jego postaci. To był najpracowitszy malarz, jakiego znały moje młodzieńcze lata. Dziadek był moim pierwszym edukatorem a jego bajki oraz legendy wryły mi się w mózg i do dzisiejszego dnia nie zatraciły nic ze swych barw i wyrazistości.

Tak — przypominam sobie owe klechty i przypowieści, odgrzebane przez dziadka ze starych kalendarzy, ksiąg pociętych przez mole i gryzki, tomów zszytych z pożółkłych wycinków gazetowych, pełnych wspaniałych ilustracyj. Stosy tych dziwnych dzieł o fascynującej treści kryły się w ciemnej komórce między tysiącem puszek z farbami, butelek z pokostem, terpentyną i lakierem. Były tam i szablony malarskie, sztywne i grube, pędzle, lineały, wiadra pełne kredy lub wapna, szczotki i szpachtle... Czegoż tam zresztą nie było. Nieraz w komórce chrobotała mysz gdzieś w kącie, a ja zalękniony stawałem przy drzwiach i tylko głowę wsuwałem do wnętrza, patrząc rozszerzonymi z ciekawości źrenicami na cały ten kram, pachnący olejem.

*

W wiośnie życia najpiękniejszą porą roku jest także wiosna. — Poprzez małe, kwadratowe okienka naszego mieszkanka wciskały się do wnętrza jasne promienie słońca. Na zewnątrz kiwały się szczyty gołych jeszcze lip ale gałązki pęczniały już na koniuszkach wilgotnymi i lepkimi guzami. Daleko w polu dojrzeć było można wiatrak, obracający w wietrzne dni krzyż swoich śmig. Bardziej na prawo, ponad dachami niskich domków i chałup sterczał ciężki masyw parafialnego kościoła z wysoką, zakończoną wysmukłym szpicem — wieżą. W tej wieży wisiała para dzwonów. Nigdy

ich nie widziałem, ale w wyobrażeniu moim dzwony były potężne, gdyż głos ich każdego dnia rozlegał się donośnie i płynął na łąki, pola aż ku smudze lasów, zamykającej świat granatową obręczą.

O świcie — ze strzelistej sygnaturki rozlegał się metaliczny dźwięk małego dzwonka, zwołującego wiernych na jutrznię. Trzepotał się jak niecierpliwy ptak, krzykliwy i wesoły. Trzy razy dziennie grały dzwony na Anioł Pański. W niedzielę i święta, przed każdym nabożeństwem i po sumie, majestatyczny brzęk rozlewał się po miasteczku, a serca dzwonów biły w ciężki metal rytmicznie i donośnie. Czasami odzywały się niespodziewanie, zwykle po południu lub nad wieczorem. Brzęk ich był wówczas przeciągły i żałosny, długo płynął ku słońcu, czerwieniącemu się nad zachodem i milkł w końcu w ściszonym łkaniu. Babcia mówiła wówczas, że na cmentarzu znów kogoś chowają. Raz jeden tylko dźwięk dzwonu poderwał nas z nocnego snu. Rozkołysany silną ręką kolos grzmiał na trwogę. Gdzieś wtórowała mu trąbka strażacka. Na dworze sączył się deszcz z czarnego nieba. Z oddali dochodził pomruk mijającej burzy. Od czasu do czasu złoty zygzak odległej błyskawicy rozjaśniał świat. Poza ciemną sylwetką kościoła rumieniła się łuna ale pożaru nie można było zobaczyć. Dzwon ciągle wołał ludzi na pomoc.

I tak codziennie grały dzwony swą pieśń głośną i poważną, wydzwaniały coraz dojrzalsze okresy ludzkiego życia.

*

Pewnego dnia, a była to Wielka Środa, dziadek otwarł wieczorem jedno z okien naszej izby, posłuchał brzęku płynącego od wieży i powiedział: „Dzisiaj dzwonią po raz ostatni. W nocy wszystkie wielkie i małe dzwony, wszystkie brzękadełka ruszą w doroczną pielgrzymkę daleko, za góry i rzeki aż do samego Rzymu". Och — była to rewelacyjna nowość i dziadek zmuszony został do opowiedzenia mi wspaniałej legendy. Leżałem już w łóżku i słuchałem dziwnej historii a w rozognionej wyobraźni legły się fantastyczne obrazy. Wyobrażałem sobie, jak w nocy z wąskich okien wieżowych wysuwają się metalowe olbrzymy, jak z sygnaturek wyfruwają dzwonki, jak ze stopni ołtarzy podrywają się srebrne dzwoneczki ze złotymi uchwytami, jak znad wejścia do zakrystii urywa się dzwonek z przyczepioną do niego szarfą bogato haftowaną i nawet brzęczące maleństwo, które ministrant niesie obok księdza, idącego do chorego, wymyka się z ukrycia, niby motylek wzbija się nad lasy i leci za towarzyszami. Z każdego miasteczka, wioski, z każdej kaplicy ulatują nowe gromady, łączą się w liczne stada i wysoko ponad chmurami pędzą z cichym pobrzękiwaniem. Zmożył mnie sen zanim opowieść dziadka doszła końca.

Dzień wstał cichy i smutny. Niebo zasnuło się chmurami, które wiatr targał na strzępy i wlókł w nieznaną

dal. W mieszkanku panował rozgardiasz, brakowało firanek w oknach, dywan i chodniki były zwinięte, babcia biła trzepaką staroświecką kanapę i wyściółki kanciastych krzeseł. W szeroko otwartych oknach wietrzyła się pościel odarta z powłoczek a do wnętrza izby wdzierał się wilgotny ziąb. Na komodzie panował nieład, ze stołów zniknęły serwety.

Dziadek zaprowadził mnie do kościoła. Na ołtarzach wszystkie sprzęty były powywracane, a w czasie nabożeństwa zamiast dzwonków trzaskały drewniane i śmieszne kołatki. Obiad tego dnia był kiepski. Czułem się nieszczęśliwy, bo babcia wyganiała mnie z każdego kąta i na dodatek nie pozwoliła mi na krok ruszyć się z domu.

Następnego dnia w mieszkanku trudno było wytrzymać. Babcia przygotowywała ciasta, gotowała wspaniałe i wyszukane potrawy, przebierała rodzynki, tłukła w moździerzu migdały... W kuchence pachniało pieczenią, topionym tłuszczem i plackami. Ale na obiad były tylko ziemniaki i dzwonka słonych śledzi, polane żółtym olejem. W przyległym pokoju na stole zasłanym śnieżnym obrusem kompletowało się powoli święcone. Trudno mi było odpędzić pokusę wydłubania z pieczeni kawałka mięsa, a z plecka — drobiny kruszonki. Dostałem za to po łapach i wysłuchałem długiego kazania o łakomstwie, obżarstwie i wielu innych grzechach, które nieuchronnie popychają duszę w objęcia szatana. Mało to mnie wzruszyło, ale przejąłem się wiadomością, że mój Anioł Stróż płacze gorzkimi łzami nad mą grzeszną łapczywością. Nie chciałem przecież skrzywdzić go czymkolwiek i gdybym mógł z nim rozmawiać tak, jak z babcią, wytłumaczyłbym mu niewątpliwie, że dzwonka śledzi z olejem i ziemniakami są znacznie mniej smaczne aniżeli cielęcina na zimno i placek z rodzynkami.

Dzwony nie wróciły tego dnia do wieży. W duszy mej krystalizować się zaczął domysł pewnej zależności mego życia od pielgrzymujących kolosów. Brak ich odczułem dotkliwie nie dlatego, że pozbawiony byłem radości słuchania ich dźwięków ale bezspornym faktem ograniczenia mej swobody oraz zmniejszenia sumy doznawanych przyjemności. Nie wiem w jaki sposób powstało w mym umyśle to dziwne skojarzenie, ale kiedyś — znacznie później przekonałem się, że dźwięk dzwonów decydował nie tylko o charakterze mojego życia, lecz symbolizował również wolność całego Narodu.

W ów Wielki Piątek czułem dotkliwie swoje nieszczęście. Obijałem się w ciasnych izbach, byłem głodny i podrażniony zapachem smacznych potraw, których ruszyć mi nie było wolno. Wieczorem rozbeczałem się bez powodu, a strapieni mym stanem dziadkowie napoili mnie wstrętnymi ziółkami, mającymi przywrócić równowagę memu nadwątlonemu rzekomo oragnizmowi. Było to dla mnie dopełnieniem kielicha goryczy.

Wielkosobotni ranek rozjaśniał się w tej samej ciszy, w jakiej wstawały poprzednie dni. W błękitnych przerębłach chmur wesoło mrugało słońce i zalewało świat snopami ciepłych promieni. Nasze schludne już mieszkanko mieniło się czystością. Wypełniał je mocny zapach wędlin i pieczywa, unoszący się ze stołu, na którym rozpierały się dumne babki, szynka ozdobiona goździkami i siekanym jajkiem, przeźroczysty i śliski galart, stos kolorowych jaj, skręty czerwonej kiełbasy, półmisek z pieczonym mięsiwem, a w samym środku stołu baranek z masła, którego oczy z ziarenek pieprzu i czerwona chorągiewka z krzyżem — przyciągały moją uwagę. Z potraw wyrastały zielone gałązki grynszpanu. W wazoniku kwitły barwne tulipany wokół pachnącego hiacentu. Z boku stał talerz ze święconą wodą, przy nim leżało kropidło, podobne do artystycznej miotełki.

Wszystko to było atrakcyjne i niecodzienne, lecz nie rozpraszało nudy, którą przesączona była atmosfera. Nudziła się babcia po skończonej pracy i nudził dziadek, krążący między mieszkankiem i drewnikiem. Z nudów szczotkował swój surdut niedzielny. Gładził go długo i starannie, chociaż nie było na nim ni pyłka. Potem czyścił wszystkim buty, a w końcu mył się w komórce zamkniętej na skobel. Nudziłem się i ja. Kaprysiłem przy obiedzie równie jałowym i niesmacznym, jak w poprzednich dniach. Nie bawiły mnie nawet opowiadania o wielkanocnych zajączkach, przycupniętych u gniazd, pełnych najbarwniejszych jaj.

Wieczorem poszliśmy wszyscy do kościoła. W kaplicy z Grobem świeciło mnóstwo świec, a między nimi jed-

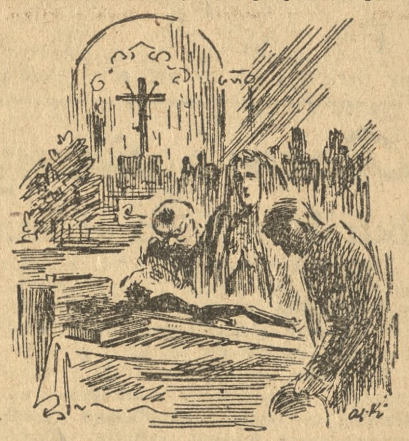

na ogromna z sęczkami na boku. Ołtarz tonął w kwiatach tak pięknych, że trudno było od nich wzrok oderwać. W niszy, oświetlonej kolorowymi lampkami leżało blade umęczone Ciało Chrystusowe z zakrzepłą wokół ran krwią. Wysoko, nakryta woalem monstrancja zdawała się chować za skrzydłami aniołów. Wśród kwiatów i świec snuła się zakonnica w białym kornecie. Dwu ministrantów modliło się na klęcznikach. Żałobną ciszę zmącały tylko westchnienia i brzęk monet wrzucanych do skarbonki. Na puszystym dywanie leżał krzyż, z rozpiętym na nim Chrystusem Wierni podsuwali się doń na klęczkach i całowali dłonie, stopy i bok przebity włócznią. Zdawało mi się, że każdy podchodzący cierpiał, o coś prosił, czegoś żałował. Byłem w rozpaczy, bo czułem się od wnętrza wydrążony i pusty, jak jałowy orzech. Oczy moje uparcie szukały na stopniach ołtarza srebrnych dzwonków. Niestety nie było ich nigdzie.

Tej nocy śniło mi się, że od lasów leci ku miasteczku ciemna chmura ptaków. Zadarłem głowę i starałem się rozpoznać skrzydlatą czeredę. Zdawało mi się, że to gołębie, ale jakieś ogromne i upiorne. Chmura zbliżała się coraz bardziej i nagle ku memu największemu zdumieniu dostrzegłem, że to dzwony lecą uskrzydlone dzwony — ogromne miedziane, mniejsze z błyszczących metali, niektóre pokryte rzeźbami, inne poszczerbione, malutkie srebrne dzwoneczki różnych kształtów i barw. Wkrótce całe niebo zasłonięte zostało dzwonami. Chmura zatrzymała się nade mną i zakołysała. Usłyszałem brzęk donośny, przeciągły, metaliczny... Widziałem serca rozkołysane, uderzające twardo i nieprzerwanie. Pociemniało mi w oczach i zbudziłem się. W oknie różowił się świt — od kościelnej wieży płynął dźwięk dzwonów rezurekcyjnych.

Zalała mnie fala radości. Koniec smutkom i żałobie. Dzwony wróciły.

GRAJĄCE WIEŻE

Wspomnienia z wędrówek po Flandrii

Na otuloną mrokiem nizinę flamandzką, na drzemiące wody rzeki Dyli, płyną tony głębokie, drgające, rzewnie wibrujące w najsubtelniejszym pianissimo. To dzwony grają.

W Malines niedaleko Brukseli z katedry św. Romualda koncertują dzwony. Podczas, gdy z wieży czarowna płynie muzyka, zamiera przy Grand Place, gdzie stoi katedra, wszelki ruch.

*

W Flandrii — pod koniec w. XIV wchodzi zwyczaj umieszczenia mechanicznego zegara na wieży, który zastąpić ma dawniejszy zegar słoneczny. Ażeby zwrócić uwagę ludności na uderzenie godziny, poprzedzono je harmonijnymi dźwiękami dzwonów. Sto lat później dzwięki przechodzą w melodyjny układ, zwany po flamandzku „voorslag" wygrywany za pomocą kurantowego mechanizmu, na kilku odpowiednio stonowanych dzwonach. W w. XIX dochodzi ich liczba już do 45, zaś mechanizm kurantowy zostaje uzupełniony klawiaturą. Dzwony o ciężarze 35 000 kg od dzwonów basowych o 8 000 kg wagi, do najmniejszych mających kilka kilogramów i dające najwyższe tony dyszkantowe. Rozmieszczono je w ten sposób, że basowe olbrzymy zawieszono na 60 m wysokości i zamknięto dla złagodzenia siły brzmienia. Inne sięgają 75 m wysokości i głos ich rozchodzi się przez specjalnie skonstruowane otwory w olbrzymich wieżach. Dzwony te, obejmujące 4 oktawy, poruszane mechanizmem kurantowym, lub systemem klawiaturowym. Gdy na nich wygra artysta-dzwonnik, wytwarzają majestatyczną potęgę dźwięków i doskonałość harmonii.

Szczęśliwie przeżyły dzwony w Malines wszelkie burze dziejowe. W czasie rewolucji francuskiej cudem prawie uniknęły śmierci. Obronił je przed stopieniem w odlewarni ówczesny dzwonnik, tłumacząc władzom rewolucyjnym, że dźwięki dzwonów mogą równie wymownie głosić zwycięstwo idei wolności, popularyzując pieśni rewolucyjne — zamiast religijnych. Nie zamilkły grające wieże po bezlitosnym bombardowaniu barbarzyńców XX w. Ranami pokryły się tylko mury katedry.

Już w roku 1890 zorganizowano wieczorne koncerty dzwonów, które ściągały coraz szerszą publiczność. Na koncertach bywają dziś jeszcze olbrzymie rzesze, zwłaszcza cudzoziemcy..

Z rozkrzyczanej zgiełkiem tramwajów, rozkołysanej poszumem dużego miasta — Brukseli, uwozi wygodny autobus turystów do Malines. Zostawia za sobą tysiące migotliwych świateł brukselskich. Rozwija się jasną wstęgą drogi biegnącą w kraj monotonny, poprzerzynany siecią linii kolejowych, kanałów i szos, urozmaicony malowniczymi grupami drzew.

Po półgodzinnej jeździe, turystom ukazuje się za jakimś tam węgłem katedra św. Romualda, **ze swą grającą wieżą.** Płyną tony na oświetlony Grand Place, przepełniony tłumem ludzi, dziesiątkami aut i autobusów na wąskie przesmyki ulic, na malownicze stare domy, zasłuchane wszystkimi oknami; na drzemiące w dali miasta ciche i poezji pełne, i na odległe, mgłami otulone łąki flamandzkiej niziny.

Wyłaniające się w wieczornym mroku wieże, gdzie artysta-dzwonnik odegra rozlewnego „Poloneza" — podobne są do obrazu ze snu. Duszą zatarga głęboka liryka muzyki; grające wieże śpiewają hymn swej ziemi.

Są one bujnym kwiatem rodzimej kultury flamandzkiej, która obejmuje najstarszą skalę twórczości od uduchowienia mistycznego gotyku, przez spokój mieszczańskiego renesansu i niesmaczny dla nas realizm, — aż do najczystszego wykwitu muzyki, wyniesionej, hen ku gwiazdom.

IRENA STABLEWSKA

Studenci polscy w Belgii

(Korespondencja własna „Głosu Wielkopolskiego")

Bruksela, w lutym

W Belgii od r. 1945 żyje, studiuje i tęskni do kraju spora grupa studentów Polaków. Jakież jest ich życie, troski i radości, a wreszcie przyszłość?

Uczelnie belgijskie, a szczególnie słynna Szkoła Handlowa w Antwerpii, Politechnika w Liège, Uniwersytety w Lourain i Brukseli znają doskonale studentów — Polaków, i znają ich raczej z najlepszej strony, choć w r. szk. 1945/46 prawie połowa spośród kilkuset studentek i studentów, którzy zapisali się na uczelnie belgijskie strwoniła lekkomyślnie włożone w nich pieniądze społeczne. Fundusze, z których czerpano, powstały z dobrowolnego opodatkowania się polskich żołnierzy i oficerów. Tym przykrzejsze były straty, poniesione wskutek złej organizacji studiów polskich w Belgii. Wiele rozmaitych przyczyn złożyło się na powstanie tego smutnego stanu rzeczy: nieznajomość języka francuskiego u większości „studentów", brak chęci do pracy, zapóźnienie w studiach, protekcjonizm prolondyńskich ówczesnych władz ośrodka studiów w Belgii, niemoc intelektualna byłych więźniów obozów koncentracyjnych itd.

Reszta jednak, a mianowicie około 60% pracowała z uporem. Rezultaty nie kazały długo na siebie czekać. Oto, aby nie być gołosłownym kilka faktów: w końcu roku 1945/46, 14 inżynierów — Polaków, którzy w 1939 posiadali już absolutorium w Warszawie, opuszcza Politechnikę w Liège, kilkunastu innych dyplomantów (inżynierów, lekarzy, dentystów i ekonomistów) opuszcza inne Uniwersytety.

Rok szk. 1946/47 jest już rokiem normalnej pracy. Blisko 50 dyplomantów kończy studia, przeważnie są to inżynierowie, handlowcy, ekonomiści. Prawie 80% studentów zdaje egzaminy roczne. Polacy mają już ustaloną opinię wśród profesorów i kolegów — Belgów: ces teribles Polonais, wymawiane z odcieniem uznania i podziwu, jest określeniem 100 Polaków, kontynuujących studia w Belgii.

Te same słowa „ces teribles Polonais" tylko z zupełnie innym odcieniem, wymawiają setki dziewczęcych usteczek, dokładnie ukarminowanych, tonących w buziach białych i niezbyt pociągłych, i mocno opartych na silnie skaresowanych nóżkach w nylonowych pończoszkach, które są tu b. tanie (para kosztuje 50 fr. — ok. 400 zł). Belgijki są niewątpliwie bardzo miłe: towarzyskie, wesołe, zdrowe, pogodne, mają wszystkie dane, aby je polubić. Ilość Polaków, którzy ożenili się z Belgijkami jest wcale pokaźna. Przeważnie jednak wracają do kraju i żenią się z „sympatiami" z roku 1939.

Mimo propagandy pewnych kół emigracyjnych polskich- bardzo mały procent studentów, kończących studia, pozostaje w Belgii. Olbrzymia większość bo prawie 80% kończących studia wraca do kraju. Nie ma istotnie żadnego sensu pracować za granicą w momencie, gdy kraj tak bardzo potrzebuje fachowców, nie ma żadnej przyjemności tam pozostawać, ponieważ konkurencja zawodowa i egoizm narodów zachodnich — jest zupełnie wyjątkowy. Podczas studiów Polak nic od Belgów nie potrzebuje; dlatego jest lubiany, lub co najmniej tolerowany. Z chwilą natomiast, gdy chce w Belgii pracować w zawodzie innym niż górnictwo, staje się niepożądanym konkurentem. Ustawowo nie wolno wydać pozwolenia na pracę inteligentowi — Polakowi, jeżeli na to samo stanowisko reflektuje Belg.

Dlatego tylko nieliczni ubiegają się o wątpliwy przywilej pracy zawodowej w tym kraju, zawsze zresztą odwołalny; większość nawet nie myśli o pobycie na stałe w małym kraiku, w którym tak przyjemnie i owocnie spędzili lata studiów. Wracają z wielkim zapałem do pracy w Ojczyźnie.

Harco

Dr A. ZARACH

Hale — prastara dzielnica Paryża

(Korespondencja własna „Głosu Wielkopolskiego")

Jednym z najbardziej barwnych obrazków życia codziennego Paryża to niewątpliwie Hale. O którejkolwiek godzinie skieruje się tam swe kroki — Hale tętnią życiem, wrą pracą.

Po wszystkie czasy, małe, kręte, ciasne uliczki, sąsiadujące z Halami uważane były za najbardziej ciekawe w Paryżu; tam to skupiało się różnorodne życie stolicy Francji w uliczkach zawalonych klientami, tragarzami, kupcami, gospodarzami, gapiami, dziewczynami z półświatka, rzezimieszkami i niedoszłymi uczonymi Sorbony.

Podczas gdy przyzwoity Paryż jeszcze śpi — Hale budzą się w radości pracy, na długo przed brzaskiem dnia. Od wczesnych godzin nocnych płyną do tego centrum wyżywienia wszelkie artykuły spożywcze. Ziemia sąsiadujących ulic, uliczek, pasaży, zaułków (cul-de-Sac'ów) zawsze brudna, zawsze śliska, przepojona od dawnych czasów przeróżnymi zapachami, którymi Baudelaire tak namiętnie się upajał. Tysiące samochodów, wozów, wózków obładowanych produktami ogrodów warzywnych toczą się od najwcześniejszych godzin od stron peryferii i przywożą wszystko co rejony Francji dostarczać mogą celem zaspokojenia potrzeb i wymagań paryżan. Jarzyny, owoce, produkty rolne, zielenina, kwiaty, nawet drzewa gromadzą się tutaj. Warzywnicy, odsprzedawcy jarzyn, tragarze halowi, wieśniacy w bluzach, dziewczyny wieśkie dobrze ubrane, wszyscy oni spiesząc się mieszają swe krzyki.

Szynki halowe... knajpy... hałas tłuczonych butelek i rozbijanego szkła... prawdziwe pandemonium o zapachu miazmatycznym.

Skoro tylko zapada noc, ta tętniąca pracą dzielnica zmienia wygląd i zalewają ją szumowiny i męty społeczne. Uroczy pełen życia dzień zamienia się w wieczór niebezpieczny i ponury. W chwili gdy na tarczy zegara na Saint Eustache zapalają się światła, ulicznicy, włóczędzy, dziewczęta z półświatka wychodzą ze swych dziennych kryjówek. Im bardziej zbliża się noc, tym wzmaga się hulanka, rozbrzmiewają śpiewy.

Okolice Hal, mające od wieków swą specyficzną opinię, były i są wciąż jeszcze przybytkiem najwspanialszych „fine gueule'ów", a starodawne szyldy, wiszące tu i ówdzie, świadczą o kilkuwiekowym kulcie zabaw rabelaisowskich. Naturalną bowiem jest rzeczą, że wokoło tego ośrodka zaprowiantowania Paryża osiedlali się więcej lub mniej znani restauratorzy. W tych to szynkach pogrążają się w alkoholu włóczędzy nocni i wchłaniają w siebie

Straganiarze paryscy przed halami Targowymi

truciznę bardziej ohydną aniżeli ta Borgiów, która zabija duszę i pochłania wszelką zdolność, wyżera ciało, niszczy pamięć, unicestwia myśl. Oni to opuszczając nocne swe nory, mijają robotnika spieszącego do pracy i pracowników Hal.

Przy sztucznym blasku lamp powstają kobierce, piramidy, plaże, groble a wszystko to tchnie świeżością wsi i śmiałością kolorów. Ogrody warzywne, owocowe, zagony, cieplarnie lasy, morza, wybrzeża, płacą przez cały rok wdzięczną a pożyteczną daninę Paryżowi. Co za olbrzymie sterty artykułów, nagromadzonych celem wyżywienia Paryża podczas jednego dnia! Orgia kolorów potęgująca się w nieskończoność, począwszy od ciemnej zieleni po kolor jasno-różowy, z wyspami żywej czerwieni: morze jarzyn rozlewające się szeroko po stołach lub wznoszące się na kształt fali, która zda się rozsadzać ściany Hal.

Na zewnątrz, przed Halami, napływają bezustannie wózki warzywne ze wszystkich stron, a na chodnikach piętrzą się wiązki goździków, jaśminu i róż, które zdają się oczyszczać swym wykwintnym zapachem atmosferę występku i rozpusty, która co dopiero minęła.

Na placu Saint Eustache pokrytym dywanem ze słomy, trwa targowisko jarzyn. Pawilony mięsne zatłoczone są towarem, tak samo jak baseny rybne, przepojone zapachem świeżych ryb morskich, ze śledziarkami, barczystymi jak mężczyźni, o głosie ochrypłym. Kanał La Manche, Morze Północne, Ren, Loire'a, Sekwana, tu właśnie wyrzucają dzień po dniu węgorze, turboty, tuńczyki olbrzymie i lepkie szczupaki o odcieniu stali, karpie rudawe i złocisto-brązowe, makrele, lśniące zielenią malachitów.

Pawilony masła i serów nie kokietują obecnie paryżan gamą kolorów, jasnych począwszy od matowego złota do żywej czerwieni: masło i mleko są dziś rzeczą najtrudniejszą a nawet niemożliwą do zdobycia na terenie Paryża, a więc i w Halach.

W sercu starej dzielnicy Hal wznosi się zachwycający, najczystszy wyraz Renaissance'u, fontanna des Innocents, dłuta Piotra Lescot i Jana Goujon. Podziwiając przepiękne w linii nimfy czuje się jak gdyby wiew wałęsającego się wokoło cienia Franciszka Villona, który podziwiając i przyglądając się głowom, zwierzęcym, ohydnie wystawionym podówczas w składnicach mięsa, w tym właśnie miejscu na długo przed Szekspirem, zrozumiał próżność i nicość wszelkiej potęgi i chwały, a wzruszał się głęboko nad kruchością i nietrwałością piękna, harmonizującego z delikatnym ciałem kobiecym.

W roku 1797 ludna ta dzielnica była miejscem bardzo znamiennego aresztowania: w jednym z domów na rogu ulicy Grande-Truanderie schwytano ukrywającego się Gracchusa Babeufa. Policja Dyrektoriatu od dawna poszukiwała go, jako oskarżonego o konspirację przeciwko bezpieczeństwu państwa. Zapalony obrońca doktryn terrorystycznych, przekonany był o konieczności zreformowania państwa: reforma, która dokonała się współcześnie, powinna być uzupełniona przez inną, która by doprowadziła do zrównania środków materialnych. Podział społeczeństwa na ludzi dobrze zaopatrzonych i takich, których jedynym bogactwem jest nędza, winien być zmieniony. Poza równym podziałem dóbr materialnych domagał się także równej sumy wiedzy: wychowanie winno być równe i wspólne. Celem zrealizowania swej doktryny zgromadził Babeuf wokoło swej osoby zapalonych rewolucjonistów, przygotowując zamach przeciwko rządowi. Generalnemu inspektorowi policji, Dossonville'owe udało się w końcu — dzięki zdradzie — odszukać zręcznie wybraną kryjówkę. Po tysiącznych trudnościach, w gromadzeniu, których brała udział ludność Hal, zaaresztowano Babeufa. Usiłowania Dronta-Varennesa, uczestnika aresztowania Ludwika XVI celem uwolnienia Babeufa z więzienia Temple, nie udały się i dnia 28 maja 1797 został stracony na gilotynie; padł za rewolucję socjalną i był jednym z pierwszych, którzy w jej imię zginęli.

Babeuf zakwalifikowany jest do utopistów, bowiem w momencie głoszenia swej doktryny rewolucyjnej był zaledwie w okresie początkującego formowania się.

— — — — — — — —

Księżyc niebieskawym światłem oświeca fontannę na placu Innocents. W oddali migocą setki małych światełek, to lampki umocowane u hołobli wózków warzywnych, zmierzających w stronę Hal. Du uszu dochodzi przytłumiony odgłos nocy przerywany jedynie szczekaniem zbłąkanego psa i echem chałaśliwych refrainów, wydobywających się z piwnic; po ulicach błąkają się postacie niepoprawnych nierobów i niebezpiecznych włóczęgów, oczekujących brzasku dnia, by ukryć się w krętych zaułkach. Mijają ich prędko spieszący do pracy robotnicy.

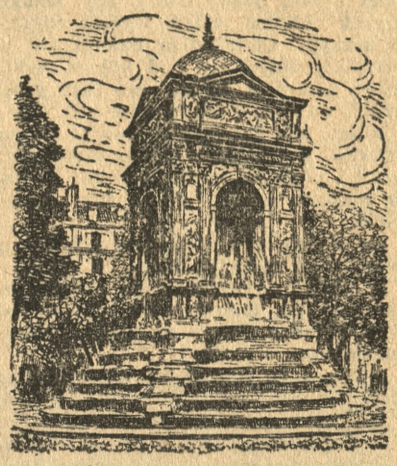

Fontanna na placu Innocentego

„Wielkanocny rejs" S/S Jagiełło

W okresie wielkanocnym zostanie uruchomiona trzecia polska linia transatlantycka. Po wznowieniu linii północno-atlantyckiej przez „Batorego" postanowiono stworzyć zupełnie nową linię między Genuą a Ameryką dla przewozu emigracji włoskiej.

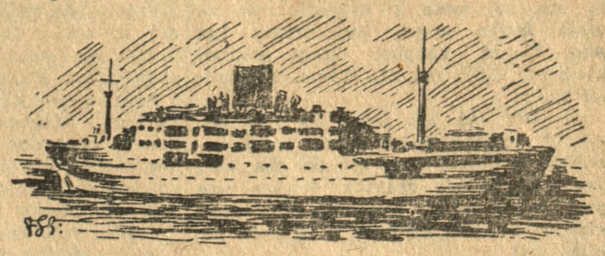

S/S „Jagiełło", nowy polski parowiec turbinowy.

Gdy próby uczynione w tym kierunku z nowoczesnym motorowcem „Sobieski" dały pozytywne rezultaty, zdecydowano utworzyć trzecią linię. Dokładnie 31 marca wyruszy z Genui nasz najnowszy i najmniejszy transatlantyk S/S „Jagiełło" udając się w pierwszy rejs na Morze Karaibskie. Szlak żeglugowy będzie prowadzić wzdłuż wybrzeża lazurowego do Cannes, stąd przez zachodnią część Morza Śródziemnego do Gibraltaru. Dotąd taki był również pierwszy etap „Sobieskiego" udającego się jednak do Nowego Jorku w dalszej części podróży. Obecnie „Sobieski" zmieni początek swej podróży płynąc z Genui do Neapolu, koło wysp Balearskich do Gibraltaru. Tutaj oba polskie transatlantyki będą się spotykały, aby znów rozdzielić się na wodach atlantyckich.

„Jagiełło" będzie płynąć na przełaj oceanu do portów leżących nad morzem Karaibskim, a więc La Guaira i Baranquilla w Kolumbii a następnie do Colon, gdzie znajduje się zachodni wylot kanału Panamskiego.

W ten sposób będzie pierwszym polskim transatlantykiem, który znajdzie się w przedsionku olbrzymiego kanału, który pamiętają dobrze uczniowie Państwowej Szkoły Morskiej zaokrętowani na „Darze Pomorza" w czasie jego rejsu naokoło świata w 1937 r. Dalsza trasa „Jagiełły" będzie zataczać łuk w kierunku portu Hawanna na egzotycznej wyspie Kubie i słonecznej Florydy. Po opuszczeniu Morza Karaibskiego statek polski będzie płynąć znów przez Atlantyk, ale na innej bardziej północnej drodze, aby dotrzeć do Lizbony w Portugalii. Stamtąd znów do Gibraltaru, Cannes i Genui. Cały rejs „Jagiełły" trwać będzie około 42 dni. Udając się w swoją pierwszą „wielkanocną" podróż transatlantyk ma już za sobą długie miesiące pobytu na stoczni genueńskiej. „Jagiełło" został przejęty na wiosnę ub. roku od władz radzieckich w ramach odszkodowań poniemieckich. Nazwa polska jest piątą z kolei nazwą tego statku. Został on zbudowany w znanej stoczni hamburskiej „Blohm-Voss" w roku rozpoczęcia drugiej wojny światowej jako „Dogu". W czasie służby w ramach niemieckich karawan z posiłkami dla poszczególnych frontów nosił miano „Duala". Po kapitulacji Niemiec dostał się w ręce Anglików, którzy przemianowali go na „Empire Oak". Z kolei po rozdziale pozostałej przy życiu floty niemieckiej znalazł się na liście statków przeznaczonych dla Polski i ZSRR. W międzyczasie krótko nosił nazwę rosyjską „Piotr Wielki", która ustąpiła na koniec „Jagielle".

Statek został poddany zupełnej przebudowie wnętrz i jest przystosowany do przewozu emigrantów włoskich. Ilość miejsc I klasy wynosi 108, w drugiej klasie może pomieścić się 190 pasażerów, w trzeciej 339. Podobno cyfry te mają być powiększone. „Jagiełło" ma 6133 ton brutto czyli, że znajduje się na trzecim miejscu po „Batorym" i „Sobieskim". Od swoich „starszych braci" odróżnia się również rodzajem napędu, a mianowicie jest parowcem turbinowym podczas, gdy tamte są motorowcami. Również szybkość naszego najnowszego transatlantyka jest nieco mniejsza od pozostałych. Wynosi 15 do 16 węzłów czyli 28—30 km/godz.

„Jagiełło" będzie nie tylko przewoził pasażerów, ale i towary. Do tego ma ładownie, z których część posiada urządzenia chłodnicze pozwalające na transport towarów łatwopsujących się.

„Wielkanocny rejs" pięknego jednokominowego i pięciopokładowego transatlantyka rozpoczyna nowy rozdział pracy polskiej marynarki handlowej pomiędzy obcymi dalekimi portami dla pomnożenia dobrobytu i przyspieszenia odbudowy kraju.

Józef Modrzejewski

FELIETON WĘDKARSKI

Karpie kąpią się w słońcu...

Dzieje się ze mną coś niezwykłego. Niecierpliwość przybiera w mej duszy jak rzeka w czas powodzi i usiłuje przelać się poprzez brzegi broniące jej szerszego biegu. Mury miasta ściskają mnie obręczą ciasnoty i coraz częściej podnoszę oczy ku słońcu, z każdym dniem przedłużającemu swą wędrówkę po błękitnej kopule niebios. Jest mi najwyraźniej źle. Dlaczego?

Wiem, co mi dolega! To tęsknota owionęła mnie swym upojnym oddechem, tęsknota do przyrody, do malowniczych brzegów rzek i jezior i do rybek, które zbudzone już ze snu zimowego nęcą mą wyobraźnię doskonałością linii i złocistością łusek. Tu mnie boli!

Dzisiaj po raz pierwszy wydobyłem ze skrytki mój sprzęt wędkarski. Trzeba było widzieć, z jaką czułością ręce moje dotykały bambusowych kijów, sznurów, ba, nawet zdradliwych, ostrych haczyków. Cieszyłem się tym wszystkim radością dziecka, które nagle znalazło tak bardzo lubianą kiedyś i zarzuconą gdzieś zabawkę. Cieszyłem się wbrew i na przekór ironicznym nieco uśmiechom mej żony.

Tak, wielu ludzi uśmiecha się ironicznie, gdy widzą nas, wędkarzy, spieszących ledwie świt w kierunku dworca z plecakami wypchanymi sprzętem i prowiantem, a wracających późnym wieczorem często bez zdobyczy. Wiemy o tym. Wiemy również, że niektóry wygodniś, którego nawet boskie słońce nie może w żaden sposób wyrwać wczesnym rankiem z objęć pierzynatów — nazywa nas „cichymi wariatami". Jakoś nas to ani dotyka, ani zraża. Co najwyżej śmieszy. A czasem żal nam jest tych, którzy nie mogą lub nie chcą pojąć, że legalne wędkarstwo to nie szalone, chciwe polowanie na dziesiątki kilogramów ryb, lecz najczystszy, najszlachetniejszy a zarazem najzdrowszy sport pod słońcem. Sport bez zawiści międzyklubowej, bez przekupstwa, bez pomyłek sędziowskich, bez łobuzerskich wybryków zapalczywych kibiców, bez nagród wreszcie, a jednak... sport!

Pamiętam jeden taki piękny poranek lipcowy. Wyrwaliśmy się bodaj przed świtem jeszcze z prezesem Okręgowego Związku Sportowego Wędkarzy „Warta" Ignacym Lipińskim motocyklem do Orkowa, na połów karpi. Zastaliśmy nad brzegiem rzeki prawdziwe obozowisko cygańskie. To wiceprezes Związku Tadeusz Sowiński spędzał tu wraz ze swą sympatyczną małżonką, również zapaloną wędkarką i z kilku innymi kolegami „po fachu" swój urlop. Krótka noc letnia pod namiotem w lesie, sen przy kołysance szeleszczących drzew i wartko płynącej rzeki, a cały dzień od świtu do nocy z wędką w ręce nad wodą. Wieczorem, przy blasku ogniska kolacja ze złowionych ryb, a potem jeszcze godzina dumania, godzina słuchania opowieści rzeki, hojnej, szczodrobliwej żywicielki naszych prapraojców, żywicieli dzisiejszych i przyszłych pokoleń. Czy w tych warunkach można by nie czuć się szczęśliwym?

Po przywitaniu się ze mną wiceprezes Sowiński pociągnął mnie ku rzece. Warta toczyła swoje wody sennie i leniwie. Budziła się dopiero i otulona welonem srebrzystej mgły słuchała z wdzięcznością — melodyjnego śpiewu ptactwa.

— Proszę spojrzeć — wyrwał mnie z zachwytu głos wiceprezesa — karpie kąpią się w słońcu.

Jakoż istotnie: setki potężnych złocistych cielsk wysiłkiem sprężystych mięśni wyrywało się raz po raz z objęć rzeki, jakoby po to tylko, by chociaż na ułamek sekundy zetknąć się z promieniami słońca. Plusk rósł z każdą chwilą, rzeka w tym miejscu gotowała się i lśniła tysiącem kół rozszerzających się i załamujących wreszcie o spadziste brzegi. A karpie wciąż jeszcze nie syte słońca rwały się ku niemu nie strudzone, po błyski, po ciepło, po pieszczotę, ogromne, ciężkie, a jednak zwinne nad podziw i wytrwałe. Widoku tego nie zapomnę nigdy! To było zbyt piękne, zbyt urocze, by mogło nie utrwalić się głęboko w pamięci.

Tego dnia nie miałem szczęścia. Złowiłem kilka płotek i małego suma. Złociste karpie, nahasawszy się z rana dowoli, nie bardzo kwapiły się do przynęty na zdradliwym haczyku. Zresztą karp, to jedna z najsprytniejszych i najtrudniejszych do złowienia na wędkę — ryb. Jeden tylko okaz, zgłupiawszy zapewne, spróbował siły wędki starego weterana wędkarstwa, honorowego członka Związku Tomasza Skrzypczaka. Spróbował i... pożałował zapewne, bo nie będzie już więcej mógł figlować z promieniami słonecznymi. Równie smutny koniec spotkał żarłocznego szczupaka, który w pogoni za rybkami połknął akurat tę niewłaściwą i po kilku minutach skapitulować musiał przed siłą i doświadczeniem wytrawnego wędkarza, członka Związku i strażnika w Radzewicach p. Alfreda Brzezińskiego.

Spędziwszy noc pod gościnnym namiotem pp. Sowińskich, wczesnym rankiem, acz z żalem wracałem do Poznania. I chociaż potem niejednokrotnie jeszcze miałem możność wędkować, nigdy już nie doznałem takich wzruszeń jak wówczas, gdy podziwiałem karpie, kąpiące się w słońcu.

Oto dlaczego jest mi źle w mieście i dlaczego niecierpliwość przybiera w mej duszy...

Tęsknię do wiosny, do Warty, do ryb!

Jan Kraśny

Dyngus brazylijski przed 100 laty

Dyngus brazylijski obchodzi się znacznie wcześniej niż u nas, bo w ciągu ostatnich trzech dni karnawału. W Brazylii jest wówczas w całej pełni lato, podczas gdy u nas tj. na półkuli północnej jest jeszcze zima.

Przed przeszło stu laty zwiedzał w tym okresie Brazylię paryżanin Debret. Oto ciekawy obrazek pióra tego turysty, w którym opisuje, jak Brazylijczycy obchodzili wówczas dyngus.

Debret, który w dyngus wybrał się do pewnego znajomego Brazylijczyka z oficjalną wizytą już na ulicy spostrzegł, że dzieje się coś niedobrego... W sklepach sprzedawano kolorowe kule wielkości jajka wielkanocnego, o ściankach woskowych, wypełnionych wodą lub pachnidłami. Liczni sprzedawcy uliczni obnosili olbrzymie tace z owymi „wodnistymi jajkami". Przechodnie kupowali te kule — były bardzo tanie — i obrzucali się nimi wzajemnie. Debret zauważył również po drodze mnóstwo młodych ludzi, którzy z sikawkami w ręku czatowali na przechodzące seniority. Wkrótce ulice były mokre jak po ulewnym deszczu...

Debret dołożył jednak wiele starań i przyszedł „suchą nogą" do mieszkania znajomych, którym składał wizytę. W salonie zauważył — ku swemu zadowoleniu — kilka młodych, czarnookich dziewcząt. Złożył im głęboki i najpiękniejszy — bo paryski — ukłon. Dziewczęta — w chwili, gdy się schylał w ukłonie, rzuciły w niego „wodnistymi jajkami". Gdy się wyprostował poczuł, że go coś oblepia i zrobiło mu się bardzo, bardzo mokro. Grad wypełnionych wodą kul dosięgnął bowiem celu. Zmieszał się biedak, nie wiedział co bardziej uchybia „paryskiej elegancji": czy przemoczone ubranie, czy też kolorowe skorupy woskowe, które poprzylepiały mu się do twarzy...

Gdy Debret wracał z wizyty do domu, na ulicy zabawa wrzała jeszcze w najlepsze. Przypuszczał, że uda mu się jakoś szczęśliwie dotrzeć do siedziby. Omylił się biedaczek jednak bardzo.

Brazylijczycy, którzy cały rok „ciężko odpoczywali", bawili się teraz w całej pełni. Niektóre z „wodnistych jajek" były już wypełnione nie wodą, lecz wodą z mąką, czyli po prostu lepkim ciastem. Gdy Debret dostał takim jajkiem w twarz, myślał w pierwszej chwili, że się udławi... Próbuje się schronić do bramy a tam czyhają nań z sikawkami. Zziajany stanął pod ścianą domu, usiłując zdjąć kolorowe skorupy z twarzy. Wtem znów spostrzega, że z okna wychyliło się ciemnowłose dziewczątko z wielkim dzbanem wody w ręku...

Tak było jednak w Brazylii i w dodatku przed przeszło stu laty! (L)

Członek Okręg. Zw. Wędkarzy „Warta", a zarazem dzielny strażnik Związku na odcinku Warty w Radzewicach, p. Alfred Brzeziński, ze złowionym na wędkę wspaniałym okazem szczupaka wagi 14 kg.

STANISŁAW STRUGAREK

HULAJNOGA

Już doprawdy nie mogłem w chacie spiłować tak mi cięgiem moja tam i na zod jedno i to samo nade łbym warczała, istno katryna na „fogelce" albo radło z życzeniami.

A wszystko bez tego ogara Hiyrka, mojego gzuba. Moja doprawdy uwzięła się na mnie i bręczała, że ze mnie żoden ociec, ino czysty kat abo Heród, chociaż ogara paluszkiem bez cołki rok nie tkłym. Powiado mi staro:

— Ady już żeś jesta do cna bez czucio. Cheba miast serca mosz kamienie w piersi, żeby cię do cna własne dziecko nie oblazło. Inksze ojce puro by z portek wyhycli, żeby dzieciarowi ucieche sprawić, a ty staro gelejzo co?

— Czy nie biere dziecka na boksy?

— Więc co? Aby się chłopyszek luchać nauczy i zawdy na drugi dzień w lani kómu nawtyko, że musze lotać po obcych budach i baby przeproszać, abo sóm roboszek z potłuczóną kalafą do domu ledwo przyłazi, że go prawie poznać nie mogę. A jakich się tam wyrazisków nauczy! Jo wiem, że te proste sierpniowe knok auty, to są jakieś świństwa, ino wy mi nie chcecie mówić.

— Ady mama...

— Nie bręcz tero, jak jo godóm i bądź skromny — sumienie cię gryzie, bo ci prawde w ślepie rżne; już jo cie znóm ty stary szuchlerzu, tak wnet mnie nie oranisz, nie, nie.

— Więc co móm robić?

Zająć się barzy dzieckiem. Jak nóm Hiyrek na luntrusa i nadracha wyrośnie, to nie będzie moja wina. I tak już loto jak tako juchta barabańsko. Ze skautów go na pysk wyćpili, bo zamiast na zbiórki lotoł do kintopu, nie wiem skyndy mioł bejmy.

— Mama, przecie jo mu ani funia nie dawołem.

— Jak się wykolei moralnie, to nie będzie moja wina, bo jaki ociec taki syn. Siedź tero i pilnuj obuzka.

I poszła do teściowej na Zawady z klétami na mnie.

A ja usiadłem na ryczce i zacząłem myśleć, co tu zrobić? Bić? Nie będę przecie katem własnego dzieciara? Uczyć go? Nie poradzę. Tak myślę, myślę i wymyślołem:

— Zrobię dziecku... hulajnogę!

Ładny to szport, bo rozwijo w szczunkach mięśnie, inteligencję pracującą, prędkość i dezorientację na ulicy. Wyciągłem retynta i porządki i zacząłem tetrać. Dwie deski wziąłem z łóżka babusi spod stróżoka, kółka dol mi jeden baniorz i ani się Hiyrek nie obrócił a sportowy sprzęt — roz dwa — był gotowy. Jak dziki śwignął mi się gzubek na szyję, a potem fyrnął na asfalt. Myślę sobie, Frącka nie będzie się już na mnie boczyć, bo spełniłem obowiązek dobrego rodzica. Niepotrzebnie sobie tam biedoczka jęzor nadwerężo.

Nad wieczorem Frącka przyszła do domu, zmierzyła mnie jak zwykle z góry do dołu i zaro pyto:

— Gdzie dzieciar?

— Zgadnij mama!

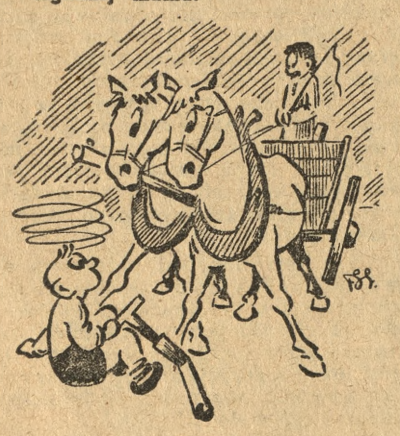

— Nie rób faksów, ino mów, o co pytom.

— Na dworze, bawi się na hulajnodze. Zaroz przyjdzie.

— Skyndy ogar mo te hulajnogę?

— Ja ją stetrałem.

Nawet mnie nie pochwaliła, taką mo twardą naturę. Posiedzieli my mało wiela, kiedy nogle oba my hycli jak oparzóne. Okropny kwik jak zarzynanego proszczoka! I do tego warwach wiary przed chatą. Frąckę coś tkło:

— Jejkusie kochany, czy to aby nie nasz Hiyrek.

— Ale gdzie zaś mama, ón beczy do cna w inkszym tonie.

Ale kwik się zbliżo, ło jery, bek już w naszej bramie, potem na schodach coraz bliżej nos. Wypryśli my jak oparzóne, patrzymy i prawie mglejemy. Nasz Hiyrek.

Frącka się świgła do niego, a ón beczy, oż szyby się trzęsą, ale hulajnogi z ręki nie wypuszczo. Pore wiary go prowadziło. Hycłem do dziecka, patrze i byłbym się obalił. Mój Hiyrek potłuczony, obłocony, z rozkwaszonym nosem, czerwóno mu leci na cwyterek, bez czopki, podbite oko, podarto katana, bez szalika, łapska porysane i brudne, pończochy podarte...

Frącka ręce załamuje i w płacz:

— Ło słodko godzino, ady co ci się dziecko stało?

Ale Hiyrek dechu nie może dostać, płacze jak na pogrzebie.

Sąsiadka Walentowa, co bez ściane mieszko powiado:

— Ady nie męczcie dzieciara, ino czem pędem obmyć go w gorącej wodzie, żeby nie dostał zatrucio krwi, obłożyć mu sznupkę bobkowym liściem i glinkowym łectym, a na ciemie przyłożyć mu nóż na plaskato, bo mo spory guzioł.

Zaś naszo kuchnio zamieniła się w mały lazaret, pore bab uwijało się koło dziecka, a Frącka co na mnie spojrzy,

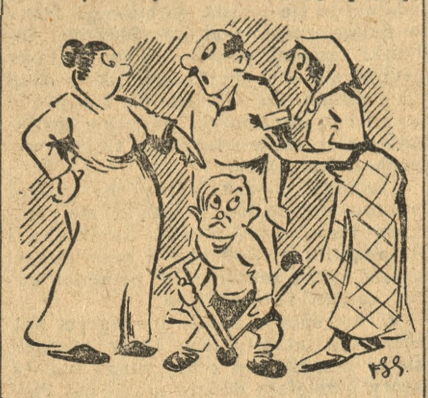

to mi się kolana zaro zatrzęsły. Przy wszystkich sąsiadkach buchła na mnie:

— Namknij się sa styndy, staro gamuło bo cię kopyścią w ten czerwóny pysk grzmotne, że się z rozumem nie połapisz! Zgolej mi sprzed oczu, bo cię ścierką mazne. Tako fulfa, tuleja zdalasiało!

I inksze nieprzyjemne przysłowia mi bręczała. Siodłem w kąciku na kanapsku i było mi głupio, że jejka kochany!

Nie klapło. Chciołem gzuba na szportowca wykierować a tu takie coś. I ta poruta przed sąsiadami, no szak?

Jak już kumoszki z większego biednego Hiyrka wychędożyły, dowiedziołem się, co, gdzie i jak. Walentowo rychtyk była w składzie u męgli więc wszystko widziała, bo czekała na swoją kolejkę i bez fiyrane gapiła się na ulice.

Hiyrek wyprysł z chaty jak szatan i zaraz się puścił na tym diobelstwie po tretuarze, wprysł głową w laterne, obalił się ale wyjechoł zaroz dalej. Potem się gwizdnął o skrzynkę pocztowa w śpik ale sie wnet pozbieroł i jechoł dalej. Zaś mu kółko utknęło w krocie od kanoła, więc się grzmotnął w rynsztok jak długi w błecko a hulajnoga utknęła wew ty krocie. Skrzeczał ale jechoł dalej. Jak wjeżdżoł na asfalt, wywijoł już jak boskie niestworzenie. Ale tam dopiero sie rozbestwił, jakby do cna świata nie widzioł, jachoł jak narwany, łeb mioł pochylony a gierą odpychoł się coraz mocniej.

I nagle, oż strach pomyśleć z bocznej ulicy wyjeżdżo okropno hela z pyrkami i dwa godne śrupy, jak smoki. Hiyrek cołkiem pędem wprysł między te szkapy. Ciemieniem huknął się w dyszułkę, dostał się pod kopyta koni, cołkie szczęście, że się dwa razy przewrócił na bok i nie wprysł pod koła.

Wiara wóz zatrzymała, świgla się do dziecka, a ten gzub jakby nigdy nic, wstoł i podniósł hulajnoge. Zaś dopiero rozdarł kalafe... ale to już słyszeliście.

Oż się za głowe łapołem jak mi to Walentowa opowiedziała.

A gzubek? Przyszedł do pokoju, opatulóny jak babusia, wymyty, w nowym ubranku. Patrze na niego, płakać mi sie chce i pytom:

— No i co synek? Jak ci jest? Lepiej ci?

On ino westchnął i powiado:

— Fajno hulajnoga, tata, nikt takiej na całej ulicy nie ma. Pod wozem była i nic jej sie nie stało. Udała się tacie!

Z teki karykaturzysty

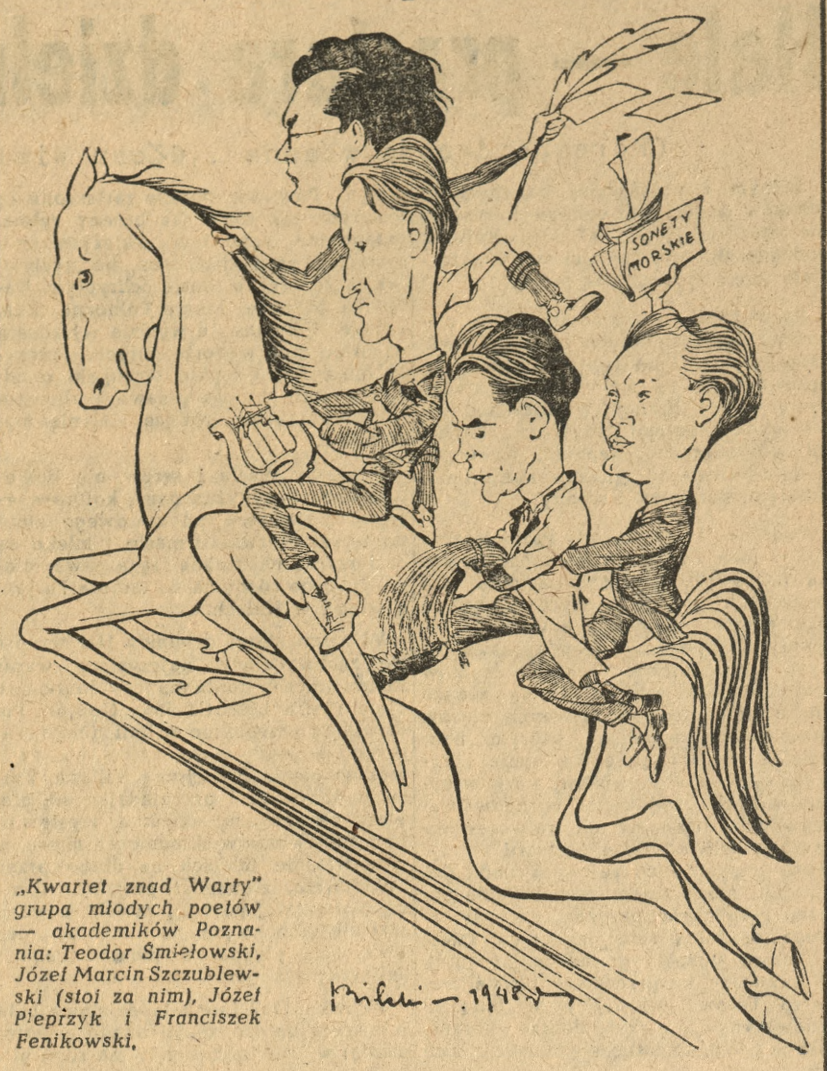

„Kwartet znad Warty" grupa młodych poetów — akademików Poznania: Teodor Śmiełowski, Józef Marcin Szczublewski (stoi za nim), Józef Pieprzyk i Franciszek Fenikowski.

— Wojtuś zjadł wszystkie pisanki

„Świąteczne Po(d)parcie Państwowe"

— ...Tydzień aresztu...

— Bogu dzięki...

— Co chcecie przez to powiedzieć?...

— ...Moja żona stale zasypywała mnie pytaniami... gdzie pójdziemy w Święta?

Ariyści Teatru Polskiego w karykaturze

Władysław Neubelt jako Duc de Richelieu

Aleksander Dzwonkowski jako Jean du Barry

Zygmunt Maciejewski jako Wilhelm du Barry

cztery fazy

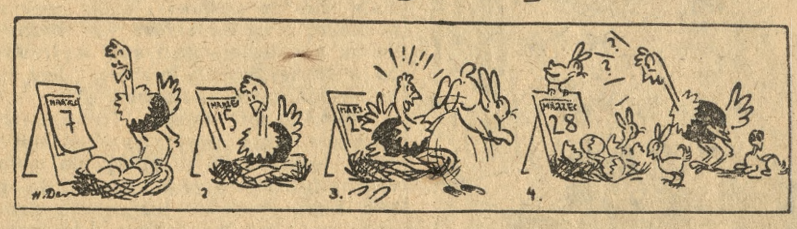

Szukam mieszkania

Szybko zapomniałem o kłopotach jakie miałem w związku z wyszukaniem mieszkania. Może spotykaliście w dziennikach ogłoszenia, że „młody, spokojny szuka mieszkania. Cena obojętna".

To ja byłem. To ja potem dzwoniłem często do rozmaitych drzwi, oferując swoją osobę. I dziś mogę się z wami podzielić wesołą wiadomością: mam. Znalazłem. Pokój jest cacko, gospodyni jak anioł, wejście wcale niekrępujące, dwa okna, stół, łóżko, kanapa — jestem szczęśliwy! Cena obojętna...

Więc mieszkam sobie, jadę tramwajem i cieszę się tą świadomością. Kiedy chcę, mogę powrócić, pomieszkać i znowu wyjść. I dlatego uśmiechałem się na ulicy, robiłem miejsce damom w tramwaju, płaciłem za bilety — przechodziłem ulicę na skrzyżowaniach — zrobiłem się człowiekiem poważnym, godnym szacunku. Nic dziwnego, że pierwszego gościa w moim mieszkaniu powitałem entuzjastycznie:

— Popatrz, to mój pokój. Tu ja mieszkam, patrzę przez te okna, zamykam i otwieram te drzwi.

Mój gość, to znajomy z jakiejś uroczystości imieninowej. Piliśmy „bruderszaft", ja mu mówiłem: Ziutek, a on do mnie — Stasiu.

— To się dobrze składa, mój Stasiu — powiedział Ziutek — że masz mieszkanie.

— No pewnie.

— Bo ja właśnie przyjechałem do Poznania i szukam mieszkania. Zatrzymam się u ciebie na krótko.

— Ale, co tam. Dlaczego nie? Proszę bardzo.

Zebym na prawdę był zachwycony, nie powiem. Ale bruderszaft — Ziutek — Stasiu, no rozumie się...

Mieszkaliśmy tak sobie przez dwa dni. Trochę niewygodnie, ale czego nie robi się dla przyjaciela.

Przychodzę ja trzeciego dnia z biura a w moim mieszkaniu słyszę ożywione głosy. Wykrzykniki, toasty. Co jest — myślę sobie — Ziutek rozmawia z sobą, czy co? Wchodzę. Pełno dymu. Czuć wódką. Na stole kiełbasa i jakiś typ na moim łóżku. To Ziutek spotkał się ze swoim kolegą ze Śląska.

— A ten to kto? — pyta Ziutka jego znajomy, podchmielony już.

Chciałem odpowiedzieć, że „nie co za jeden", ale jestem właścicielem tego pokoju, że leży na moim łóżku. Nie powiedziałem nic, nalali mi, wypiłem. Potem jeszcze jeden, wypiliśmy bruderszaft z nowym znajomym i zamieszkaliśmy (na krótko) w trójkę. Ja spałem na kanapie, oni na łóżku. Rano zbudziłem się trochę późno, zacząłem się spieszyć, Ziutek obudził się i zaczął zrzędzić, że go obudziłem. — Czy nie możesz się ciszej ubierać? Wyspać się człowiekowi nie da. Odtąd przez tydzień ubierałem się na palcach. Po tygodniu wracam do domu i słyszę w moim pokoju bardzo ożywione głosy. Zapukałem, poznałem znowu dwóch znajomych znajomego Ziutka, oni też zatrzymali się na krótko.

Była godzina pierwsza. O drugiej pobiegłem do redakcji, dałem ogłoszenie, że szukam mieszkania. „Młody, spokojny itd.". Sam zaś wyprowadziłem się do hotelu. Dopóki nie znajdę mieszkania. Może wiecie o jakimś pokoiku? Cena obojętna.

D. O.

Pieśń jajka wielkanocnego

Wielkanoc to w roku
jedyny dzień, w którym
przyznacie, że jajko
ważniejsze od kury, oj dana

Dzielą mnie przy stole
z pieczołowitością
trochę dla tradycji,
głównie z oszczędności, oj dana

Samotne jest jajko
za świątecznym stołem:
rodzina została
w wylęgarni „Społem", oj dana

Francuski zaś kogut,
(powiecie że bajka!)
znosi opiekunom
szczerozłote jajka, o voilà! Z. K.

Rysunki bez podpisu...

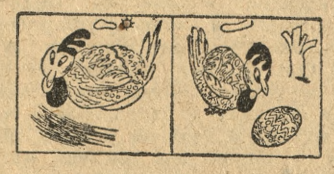

— Mamusiu czy ten pan, to struś???

— ????

— Bo w szkole nam mówili że tylko struś znosi takie duże jaja...

Jak Śliwka szalony stracił święcone

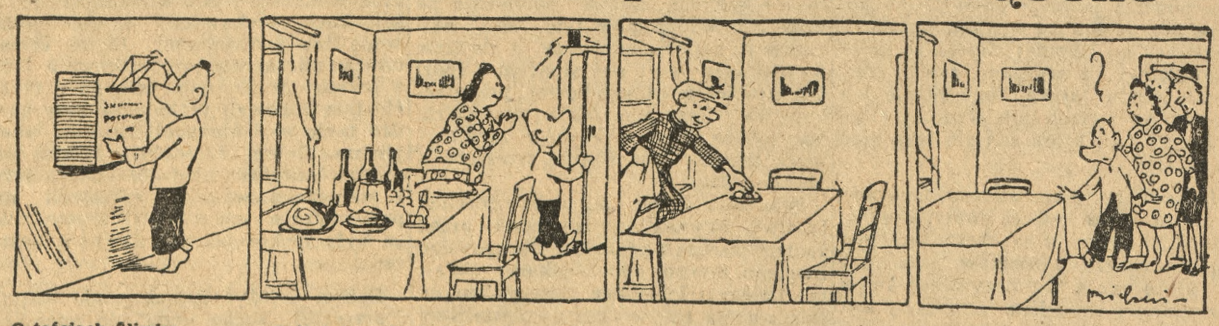

O teściach Śliwka pamięta,
Więc zaprasza ich na święta.

Stół już gotów. O, ktoś dzwoni!
Biegnie Śliwka. — Chyba oni.

Wtem, wyszedłszy chyłkiem z kąta.
Złodziej z stołu wszystko sprząta.

Więc Śliwkowie bledną z złości:
Jak tu teraz przyjąć gości?